MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 2. WARSZAWA, 10 STYCZNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

MYŚL NARODOWA WOBEC PRZEWROTÓW W ŚWIECIE WSPÓŁCZESNYM

PRZEOBRAŻENIA polityczne i społeczne, jakie z niebywałą szybkością dokonywają się w świecie, zmuszają do wielkiego wysiłku myślowego tych wszystkich, którzy poczuwają się do obowiązku czuwania nad przyszłością narodu. W jakim kierunku zmierza ewolucja pojęć w poszczególnych narodach? Jakie nowe formy przybiera życie polityczne państw i narodów? Jakie hasła staną się najbardziej aktualne? Jakie potrzeby i interesy trzeba będzie zaspokajać w nowej niewątpliwie erze ludzkości?

Zdanie sobie dokładnie sprawy z tych zagadnień, znalezienie na nie choćby przybliżonej odpowiedzi jest konieczne dla powodzenia i skuteczności wszelkiej akcji politycznej. Tylko te ruchy polityczne, które zdołają zaspokoić nowe potrzeby i nowe interesy, jakie wyłonią się z odmętów katastrofy świata dotychczasowego, tylko te prądy, które najlepiej wyrażą nowe dążenia i które same będą wyrazem dokonywającego się przewrotu umysłowego i ideowego — zdołają opanować sytuację, dokonać niezbędnych reform i zapewnić dla siebie żywotność i przyszłość. Powstanie i rozwój takich ruchów jest warunkiem rozwoju państwa. Inaczej pozostanie ono w tyle poza dokonywającemi się zmianami, co w konsekwencji musiałoby doprowadzić do jego ogólnego osłabienia.

Już dzisiaj dla uważniejszych obserwatorów stosunków politycznych w świecie i w poszczególnych krajach zarysowuje się wyraźnie dokonywająca się rewolucja. Mianowicie, mimo istnienia Ligi Narodów, mimo wysuwanych przez nią haseł współdziałania międzynarodowego, ostatnio na terenie gospodarczym zaczyna rozwijać się coraz silniej poczucie odrębnego interesu narodowego poszczególnych społeczeństw. W miarę też jak rozwija się kryzys światowy, jak powstają coraz to inne trudności, poszczególne narody coraz silniej zamykają się w swej skorupie, odwracają się od liberalizmu w handlu międzynarodowym, otaczają się barjerami celnemi, chcą odsunąć się od ogólnego przesilenia.

Objaw to zupełnie naturalny. Teorja wolnego handlu była doktryną narodów bogatych, bogatej burżuazji kupieckiej.

Zasobna Wielka Brytanja była ojczyzną liberalizmu w handlu międzynarodowym. Domagała się otworzenia barjer celnych, by zapewnić swoim produktom wolny wywóz do innych, biedniejszych krajów, które tym sposobem chciała podbijać pod względem gospodarczym. Dziś Wielka Brytanja ubożeje, dziś sama żegna się z liberalizmem i przechodzi na protekcjonizm, który jest wyrazem gospodarczego nacjonalizmu.

O ile liberalizm jest doktryną bogatych, nacjonalizm jest doktryną biednych. Prawdę tę wysunął ze szczególną siłą wódz ruchu narodowego we Włoszech, Corradini, uważając, że dla narodów biednych, dla narodów proletarjackich wyłącznie ideologja narodowa, stawiająca interes ogółu i całości narodu na czoło zagadnień, jest jedynie właściwa i niezbędna. A dziś wszystkie niemal narody ubożeją gwałtownie.

Wzrost nacjonalizmu gospodarczego we wszystkich krajach da się namacalnie zauważyć. Tem się tłumaczy niepowodzenie wszelkich przedsięwzięć Ligi Narodów w kierunku międzynarodowego sposobu zlikwidowania kryzysu, obniżenia barjer celnych, ustalenia choćby „rozejmu" w sprawie podnoszenia ceł i t. d. Nawet kraje najbardziej liberalistycznie usposobione, jak np. Szwajcarja, nie wahają się stosować w razie potrzeby najostrzejszego protekcjonizmu. Zatarg szwajcarsko-niemiecki na Zgromadzeniu Ligi Narodów we wrześniu 1931 roku, spowodowany zapowiedzią podjęcia przez Szwajcarję środków obronnych wobec wzra-

stającego w niebywały sposób importu towarów niemieckich, był błyskawicznym przykładem współczesnych trosk i zabiegów. Zerwanie przez Wielką Brytanję z liberalizmem stanowi przełom w gospodarce światowej.

Niepowodzenie liberalizmu w handlu międzynarodowym będzie miało znaczne następstwa. Liberalizm handlowy był doskonałą odskocznią dla wszelkich prądów i kierunków międzynarodowych. Finansjera międzynarodowa, wolnomularstwo i żydzi na nim częściowo opierali swoją egzystencję. On też znajdował poparcie w socjalizmie. Zerwanie z liberalizmem utrudni niewątpliwie działanie powyższych sił, odbierze im poważne narzędzie ekspansji.

Kryzys gospodarczy wywołał zatem wzrost protekcjonizmu w handlu międzynarodowym, a więc wzrost nacjonalizmu gospodarczego. A jakie są konsekwencje zubożenia społeczeństwa w wewnętrznych stosunkach poszczególnych narodów?

Tutaj trudno jeszcze wskazać na objawy namacalne i widoczne dla wszystkich. Należy więcej posługiwać się dedukcją, gdyż ewolucja jest tu z natury rzeczy powolniejsza i nie tak równa w poszczególnych krajach. Jeżeli jednak staniemy na stanowisku, że ten system gospodarczy i społeczny, który wykształcił się w wieku ubiegłym w wielkich państwach kapitalistycznych, przechodzi kryzys, to musimy dojść do wniosku, że również ruchy ideowe i polityczne, które temu systemowi odpowiadały, podobnie jak i urządzenia prawne, które były jego wyrazem, są poważnie zagrożone. Dwa były klasyczne ruchy, odpowiadające erze ubiegłego stulecia, erze dobrobytu: ruch wielko-kapitalistyczny, związany z liberalizmem Smitha i socjalizm Marxa. Jeden reprezentował raczej interesy warstw posiadających, a ściślej burżuazji, drugi interesy klasy pracującej. Oba powyższe prądy walczyły z sobą o sposób wytwarzania i rozdział dóbr, których produkcja w krajach uprzywilejowanych pod względem komunikacyjnym, czy przyrodniczym nie przedstawiała trudności. Konkurencji wielkiej nie było. Natomiast otwierały się coraz to inne rynki zbytu. Jedynem zagadnieniem było podział zysków i kapitału.

Walka socjalizmu z kierunkiem kapitalistycznym nie miała jednak, jak się okazało, charakteru wojny, z której musiał wyjść jeden zwycięzca. Była to walka dwóch sił nieodrodnie i fatalnie z sobą złączonych. Socjalizm mógł „nienawidzieć“ kapitalizmu, ale bez niego żyć nie mógł. Razem z nim się rozwinął i razem z nim przechodzi dziś kryzys.

W chwili obecnej zagadnienie gospodarcze i społeczne przedstawia się już inaczej. Nie chodzi już o podział zysków, bo tych niema. Chodzi o nową, racjonalną organizację produkcji, o usunięcie paradoksu chwili obecnej: istnienia z jednej strony nadprodukcji i nagromadzonych zapasów, których nie można spieniężyć nawet za ceny poniżej kosztów, a z drugiej istnienia masy bezrobotnych, nędzarzy i głodnych, którzy z tych zapasów nie mogą korzystać.

Powstają więc nowe wielkie zagadnienia, na które poczciwe wskazówki Smitha i destruktywne hasła Marxa nie dają wszechstronnej odpowiedzi. Chodzi o u p o r z ą d k o w a n i e obecnego chaosu, o rozpoczęcie budowy nowej gospodarki od podstaw. Trudno w tej chwili zastanawiać się, jakie formy przybierze ta gospodarka. Czy wrócimy do form, zbliżonych do średniowiecznego systemu cechów? Czy największy wpływ wywrze na życie gospodarcze syndykalizm i idea kooperacyjna? Czy też może okaże się, że nawet „nowe średniowiecze” stanie się system zbyt skomplikowanym dla czasów, jakie nadchodzą?

Na czem bowiem polega kryzys? Na ogromnym przeroście systemu kapitalistycznego. Na niebywałem skomplikowaniu życia gospodarczego. Na niezwykłem pomieszaniu jego tkanek. Pierwszym skutkiem przesilenia musi być u p r o s z c z e n i e organizacji ekonomicznej. Wszystko, co stanowiło nadbudowę, luksusową ozdobę systemu, runie. Pozostanie tylko to, co jest proste i co jest... małe. Już dziś widzimy, że im mniej skomplikowany jest ustrój gospodarczy, tem lepiej przeżywa kryzys[1]).

Ale jaka będzie treść tego nowego uproszczonego systemu? W związku z obecnym kryzysem słyszy się często, że pada kapitalizm. Zauważono już kilkakrotnie, że jest to twierdzenie, oparte często na nieporozumieniu. Trzebaby najpierw ustalić, co to jest kapitalizm. Wielu ludzi uważa kapitalizm za synonim wielkiej finansjery, wielkiego handlu oceanicznego, wielkiego przemysłu, słowem widzi w nim tylko przerost i zwyrodnienie pewnego systemu, który odszedł za daleko od swoich skomnych podstaw. I ci mają słuszność, twierdząc, że kapitalizm się chwieje. Inni znowu nazywają kapitalizmem system, oparty o prywatną własność, a który w inicjatywie, w pracy i w interesie jednostki widzi główną sprężynę skutecznej akcji gospodarczej. Kto tak pojmuje kapitalizm, kto widzi w nim tylko przeciwieństwo do systemów kolektywistycznych, ten ma słuszność twierdząc, że kapitalizm nie runie, bo nie mogą paść zdrowe i naturalne podstawy działalności ludzkiej. I niewątpliwie w nowym, uproszczonym systemie one będą musiały znaleźć pełny wyraz.

Socjaliści i ludzie, wychowani w socjalizmie, twierdzą, że pada dziś kapitalizm, więc musi przyjść kolektywizm lub rodzaj socjalizmu państwowego, czy etetyzmu. Tego nauczył ich zresztą Marx, dowodząc, że w pewnej chwili kapitał będzie skupiony w rękach tak małej ilości ludzi, iż siłą rzeczy będzie musiał przejść w ręce mas. Ludzie ci uważają, że właśnie dziś nadeszła taka chwila. Tymczasem fakty już zaczynają przeczyć tym mniemaniom. Pada wielki kapitał, ale jego miejsce zajmie kapitał drobny. Następuje r o z d r o b n i e n i e, rozkład siły kapitalistycznej. Socjalizm — jak już pisaliśmy wyżej — mógł się swobodnie rozwijać w erze dobrobytu, był ściśle związany z kapitalizmem. Dziś jest jeszcze najsilniejszy we Francji — w kraju, gdzie największy panuje dobrobyt. Ale w miarę rozdrabniania się sił kapitalistycznych i on upadać będzie. Trzeba zresztą pamiętać, że socjalizm walnie się przyczynił do skomplikowania systemu gospodarczego. On wycisnął główne piętno na ustawodawstwie społecznem i gospodarczem, które dziś nie wytrzymuje próby życia. Jego doktryna staje się również w dzisiejszych czasach — anachronizmem.

---

[1]) Jest rzeczą znamienną, że hitleryzm w swoim programie gospodarczym zwalcza wielką finansjerę, wielki przemysł, wielkie trusty i kartele, popiera natomiast drobne jednostki gospodarcze. Wszystko wskazuje, że postępuje on zgodnie z ewolucją światową i tem tłumaczy się również jego powodzenie. System ekonomiczny, panujący w Polsce, stosując z jednej strony etatyzm, a z drugiej szukając oparcia w wielkich organizacjach gospodarczych (kartel), rujnuje, jak wykazuje życie, właśnie drobne, samodzielne jednostki gospodarcze.

Rozkład kierunku wielkokapitalistycznego i socjalistycznego tłumaczy się jeszcze czem innem. Oba były dążeniami materjalistycznemi. Wspólnym ich celem była walka o pomnażanie dobytku wszystko jedno: kapitalisty, czy proletarjusza. Dziś weszliśmy w inny okres. W okres ograniczeń. I dlatego oba powyższe kierunki nie mają siły moralnej, aby stawić czoło przeciwnościom. W sferach wielko-kapitalistycznych panuje popłoch, w sferach socjalistycznych — bezradność. Socjalizm, będący w dużym stopniu pasożytem, żyjącym z kapitalizmu, okazuje się bezpłodnym, gdy chodzi o odbudowę gospodarki. Może się on jeszcze utrzymać, stosując ordynarną demagogję, ale i ta zawodzi, jak wykazały ostatnie wybory w Anglji. Klęska socjalizmu w Anglji wyraża się zresztą nietyle w katastrofie wyborczej, co w rozłamie w *Labour Party*. Fakt, że przywódcy tego ugrupowania, będącego podporą II Międzynarodówki, uznali, iż nie mogą pogodzić klasowego interesu partji z interesem ponadklasowym i opuścili jego szeregi, jest największym ciosem, jaki mógł być zadany idei socjalistycznej.

W imię więc czego odbudować nowy ustrój? W imię jednostki, klasy, ludzkości? Hasła te nie odpowiadają już potrzebom chwili. Jednostka — jako centrum machiny gospodarczej — ginie w odmęcie współczesnych kataklizmów. Ludzkość staje się pojęciem nieuchwytnem wobec krzyczących, konkretnych potrzeb. Hasło klasowe okazuje się za ciasnem, niewystarczającem nawet dla Rosji Sowieckiej przy realizowaniu „piatiletki", tak mało mającej wspólnego z komunizmem.

Natomiast coraz silniej, coraz jaśniej uwypukla się fakt, że tylko syntetyczny punkt widzenia, ogarniający całość interesów danego środowiska, będzie zdolny opanować sytuację i pchnąć życie narodów we właściwym kierunku.

I istotnie. W chwili obecnej szerokie masy instynktownie za takim kierunkiem syntetycznym się oglądają. Jest rzeczą zastanawiającą, jak bardzo, mimo ciężkiego kryzysu gospodarczego, tracą na wartości kierunki klasowe, demagogiczne i radykalne. I to nietylko prądy socjalistyczne.

Podobnie dzieje się u nas z chłopskiemi kierunkami klasowemi. Jakże bardzo pod wpływem ogólnej biedy straciło na znaczeniu np. hasło reformy rolnej.

Obok doktryn klasowych upadają również jednostronne i krótkowzroczne wpływy wielkiej finansjery i wielkiego kapitalizmu.

Jeszcze do niedawna bankierzy czuli się powołanymi do rządzenia światem. Ich wzywano jako wyrocznie w chwilach najważniejszych. Oni zaś z lekceważeniem patrzyli na polityków i mężów stanu, jako na ludzi „nierealnych". Hasło: „precz z polityką, niech żyje gospodarka!" obiegło wszystkie narody i, jak zwykle, w pierwotnej formie, obijało się nawet po Polsce. Bardzo szybko jednak wartość nowych rządców świata wyszła na jaw. Podobnego braku przewidywania, podobnej krótkowzroczności, niezrozumienia ciągłości dziejowej narodów, ich psychologji i potrzeb nie wykazano jeszcze nigdy chyba w sposób tak szybki i katastrofalny.

Palmę pierwszeństwa wśród finansjery międzynarodowej zdobyli pod tym względem bankierzy amerykańscy. Do tych nieustannie zwracano się po rady i wskazówki. Uważano ich za najmędrszych, bo byli najbogatszymi. Im jednak zawdzięczamy razem ze społeczeństwem amerykańskiem obecne trudności. Oni skierowali kapitały amerykańskie w przedsiębiorstwo tak źle gospodarzone, jak Niemcy. Oni też dziś nie umieją się zdobyć na właściwe wyjście z sytuacji, lecz stare błędy starają się leczyć nowemi narkotykami, nową inflancją kredytów.

Padają więc stare bogi. Okazują się bezradne wobec wstrząsów czasów przełomowych. Ich hasła, zaklęcia i rady nie odnoszą już skutku. Przeciwnie potęgują chaos, zwiększają kryzys. Świat ogląda się za nowemi metodami, nowemi hasłami, nowymi ludźmi.

W tych warunkach tylko ruchy nowe, świeże, myślące nowoczesnemi kategorjami, wolne od psychologji klasowej i od jednostronnych programów, przeciwstawiające się światopoglądowi materjalistycznemu, zachowujące niezależność wobec kapitału i wobec pracy, a reprezentujące dążenia dośrodkowe, które mają na celu urządzenie życia gospodarczego i społecznego w myśl wyższych, nadrzędnych interesów, odpowiadają potrzebom chwili, stają się w najwyższym stopniu aktualne, pokusić się mogą o spadek po minionej epoce. Głównem ich zadaniem będzie oparcie życia gospodarczego na zdrowych, niekolektywistycznych przesłankach, przy zachowaniu nad niem ogólnego kierunku i nadzoru. Czy nadzór ten będzie mógł być wykonywany wyłącznie przez państwo, które wskutek trudności finansowych zmuszone będzie redukować swoje funkcje? Należy raczej przypuszczać, że obowiązek ten spadnie na niezależne zrzeszenia społeczne i przybierze postać tego, co nazywamy organizacją narodu. Jeżeli bowiem pisaliśmy powyżej o rozdrobnieniu siły kapitalistycznej, to nie mieliśmy przez to na myśli rozproszkowania energji gospodarczej narodu. Przeciwnie, życie gospodarcze nie obejdzie się bez ogólnego kierownictwa i bez podporządkowania swojej działalności wyższym, narodowym interesom.

Załamanie się dotychczasowego systemu gospodarczego i społecznego, załamanie się wielkiego handlu międzynarodowego, wyzysku kolonij i dalekich obszarów egzotycznych, dążenie wszystkich narodów do samowystarczalności, ogólne zubożenie społeczeństw stawiają jasno zarówno przed tak zwanym kapitalistą, jak i robotnikiem problem odbudowy od podstaw zniszczonych warsztatów, znalezienia nowych form produkcji i nowoczesnego sposobu rozwiązania zagadnienia społecznego. Nic tak nic pobudza do ogólnego, syntetycznego myślenia, jak powszechna katastrofa, nic tak nie zachęca do wspólnego wysiłku, jak ogólna bieda.

Jeżeli więc nie jest jeszcze zupełnie wyraźny kierunek, w jakim pójdzie życie polityczne narodów, to już widać jasno metodę rozwiązywania ciężkiego zadania: będzie ono rozstrzygnięte nie na gruncie międzynarodowym, czy klasowym, ale narodowym.

Składają się na to różne powody. Wymienimy najważniejsze:

1) Dążenie wszystkich narodów do samowystarczalności;

2) Upadek wielkich sił międzynarodowych: wielkiej finansjery i socjalizmu, a co się z tem łączy światowego znaczenia żydostwa;

3) Rozdrobnienie siły kapitalistycznej, co z natury rzeczy związane jest z rozwojem kierunków, które dotychczas, w potocznym i nieszczęśliwym zresztą żargonie politycznym, nazywano umiarkowanemi, a co my nazywamy siłami ładu społecznego i politycznego;

4) Upowszechnienie się nędzy, co prowadzi do podejmowania wspólnych, narodowych, a nie klasowych wysiłków i co sprawia, że idea narodowa łatwiej teraz może trafić do warstwy robotniczej.

5) Antymaterjalistyczne stanowisko idei narodowej, co daje jej moralne siły do podjęcia walki w okresie ograniczeń i trudności.

Hasło interesu narodowego wyłania się zatem z coraz większą siłą. Idea narodowa, poczucie przynależności do jednej rasy, posiadania tej samej przeszłości i tych samych dążeń, walka ze wspólnemi niebezpieczeństwami i temi samemi kłopotami — oto istotna, niespożyta siła moralna, która łączy wszystkich, niezależnie od bogactwa, poziomu umysłowego, szczebla hierarchicznego. Ona jedna zdolna się przeciwstawić chaosowi, na niej tylko może oprzeć się nowa budowa życia gospodarczego. Ona tylko nadać będzie mogła nowym formom życia istotne piętno. Gdyż nie wystarczy szukać nowych form. Forma jest odbiciem ducha. Idea, myśl, uczucie — muszą być u podstaw nowej pracy społecznej. Inaczej będzie ona tworem sztucznym, administracyjno-biurokratycznym, bez wewnętrznej treści, bez moralnej dyscypliny, bez siły duchowej.

Odbudowa życia gospodarczego — to ciężkie i długie zadanie. Nie obejdzie się bez wielkich wysiłków, chwilowych zawodów i rozczarowań. Jedynie silna wiara, wielki entuzjazm wewnętrzny podtrzymają wysiłek społeczeństwa. A ten entuzjazm da tylko idea narodowa. Naprawa gospodarcza nie uda się, jeżeli będzie miała na celu zapychanie kieszeni bankierom i kupcom żydowskim. Odbudowa życia gospodarczego odbywać się będzie pozatem w ogniu międzynarodowej walki ekonomicznej i politycznej. Również dlatego wymaga ona silnego oparcia ideowego i moralnego.

Jeżeli więc myśl narodowa tak szybko u nas się rozwija i odświeża, jeżeli opanowuje zwłaszcza umysły młodego pokolenia, jeżeli zagarnia stopniowo wszystkie stany, m. in. i robotniczy — to fakt ten nie jest przypadkowy. To logiczna odpowiedź na epokowe wypadki, jakie przeżywamy. Gdyby objaw ten nie uwydatnił się w naszym narodzie, popadlibyśmy prędzej, czy później — w komunizm.

RYSZARD PIESTRZYŃSKI

JUŻ BUDZI SIĘ ŚWIADOMOŚĆ

Od zarania swej historji żydostwo nie może pogodzić się z samodzielnością narodów rdzennych. Ich niezależność we wszystkich dziedzinach życia politycznego, gospodarczego i kulturalno-religijnego jest solą w oku żydów, bo przecież na zaprzeczaniu tych wszystkich praw narodów rdzennych jest zbudowany cały dotychczasowy byt żydowski w djasporze.

Jeżeli taki jest stosunek żydostwa do narodów rdzennych wogóle, to czyż może się ono pogodzić z niezależnością tych narodów, których terytorja są przez żywioł żydowski szczególnie nasycone? Weźmy przykład Polski.

Czy żydzi zaprzeczają faktowi, że niepodległość Polski nie leżała w interesach żydostwa?

„Wojna, która dla Galicji stała się zapowiedzią specjalnych przemian i łączącej się z niemi autonomji, a w dalszej konsekwencji — powstanie samodzielnego Królestwa Polskiego — te zjawiska wytworzyły nowe położenie. Na podstawie doświadczeń ostatnich dziesięcioleci musiała powstać obawa, że te oba nowe twory będą musiały pociągnąć za sobą największe niebezpieczeństwa dla tamtejszych Żydów i ich istnienia. W Berlinie dla ochrony żydów wschodnich i ich praw powstało zjednoczenie..."

Tak pisał w okresie wielkiej wojny publicysta żydowski, p. Sigmund Mayer, („*Die Wiener Juden*", wyd. R. Löwit, Wiedeń — Berlin, 1917 r., str. 483).

Publicysta żargonowy, p. Abraham Kotik, w rozdziale „Historyczna Polska" w swojej pracy „*Di nacjonale minderhajten un Iden in Pojlen*", („Mniejszości narodowe i Żydzi w Polsce" wyd. „*Di Cajt*", Warszawa, Dzielna 13, 1922 r. w żargonie) pisał:

„przed wojną nasza przyszłość inaczej wyglądała, niż obecnie; ona przedstawiała się nam w innych barwach... Obszary Syberji, Kaukazu, Środkowej Rosji i innych jej części mogły służyć jako rynek dla miejskiego przemysłu, w którym my bierzemy udział jako wytwórcy i kupcy... Nasze ambicje na przyszłość, całe nasze wyrachowania na przyszłość, były związane z dalszym rozwojem narodu rosyjskiego i państwa rosyjskiego. Upadnie rząd carski — wszak w końcu on musi upaść — upadną łącznie z nim ciasne granice sfery osiadłości żydowskiej i my staniemy się równouprawnionymi obywatelami wolnego rosyjskiego państwa... Było to swoiste centralistyczne dążenie, którem były opanowane wszystkie warstwy narodu żydowskiego, była to orjentacja na naród panujący. Nadeszła wojna, strefa osiadłości została oderwana od Rosji i myśmy pozostali naturalnie w tych samych granicach osiadłości... Granice naszej osiadłości stały się granicami Państwa Polskiego...

Na położenie, w którem znaleźli się żydzi w nowowytworzonem Państwie Polskiem, większość żydów dała jedną odpowiedź: uciekać, emigrować... Takiej odpowiedzi nie może dać cała masa żydowska... Winniśmy i musimy pozostać w Polsce. Wogóle powinniśmy przestać być narodem, stale trzymającym w ręku kij tułaczy i worek na plecach. Polska jest przez nas krajem zasiedziałym, do którego my mamy nie mniej praw niż inni, (*„Pojlen is unzere ajngezesene land un mir hoben auf ir recht nit weniger, wi andere"*). Zwłaszcza, że nasze widoki w Polsce i polityczne, i ekonomiczne w istocie nie są tak smutne, jak one są obecnie i jak się wydają — przeciwnie: my posiadamy dużą przyszłość w Polsce..." (str. 5, 9).

I dalej autor dowodzi, że żydzi, jako autochtoni w Polsce, dzięki antagonizmom społecznym i narodowościowym wśród ludności zarówno polskiej jak i ruskiej, białoruskiej i t. d., przy swojej żydowskiej świadomości narodowej i swoich wpływach na życie gospodarcze i polityczne, mogą odgrywać w tym kraju decydującą rolę.

Jeżeli cała przyszłość żydostwa na ziemiach polskich, jak stwierdza p. Abraham Kotik, była wiązana z olbrzymiemi obszarami państwa Rosyjskiego, jako rynkami zbytu dla towarów, w których wytwórczości i handlu żydzi uczestniczyli, to czyż nie musiała tych żydów ogarniać z powodu powstania Państwa Polskiego ta sama obawa, która napawała żydostwo o los swoich rodaków z terenu Galicji?

Niepodległość Polski nie leżała przeto w interesach żydostwa.

A nadzieje p. Abrahama Kotika na dużą przyszłość żydostwa w Polsce, połączone co prawda, z rezygnacją z dawnych planów? Należy pamiętać że okres, kiedy p. Abraham Kotik pisał swoją broszurę (1922 r.), był okresem, gdy p. Icchok Grün-

baum tworzył „blok mniejszościowy" przy wyborach do Sejmu, a żydom zdawało się, że Rusini, Białorusini i t. p. będą uważali za jedyny swój cel walkę z Polakami, nie dostrzegając planów żydowskich, że zapomną oni o ruchu spółdzielczym i t. d.

Ale te różowe plany żydowskie poczęły blednąć — ludność rdzenna zaczęła dostrzegać źródła antagonizmów narodowościowych w Polsce, poczęto przystępować do rozszerzania sieci kooperatyw miejskich, aby wyzwolić się od eksploatacji kramarzy żydowskich. Dotknięci zostali boleśnie żydzi, zwłaszcza ruchem spółdzielczym wśród ludności ruskiej...

A ludność polska organizowała się również, państwo poczęło krzepnąć, pomimo trudności, stawianych przez żydostwo bądź w kraju, bądź zagranicą...

Ludność żydowska zaczęła czuć się w Polsce niedobrze, poczęła dostrzegać swoją zbyteczność, nieprodukcyjność...

Kiedy p. Józef Heftman zastanawiał się nad środkami poprawy bytu żydów w Polsce, w lutym 1928 r., m. in. pisał:

„winna być zwołana żydowska rada gospodarcza, która liczbami i tabelami udowodni rządowi, do jakiego stanu doprowadziły ludność żydowską w Polsce wydarzenia ostatnich 10 — 15 lat, jaki grunt ma ona pod nogami i jakie perspektywy posiada na przyszłość. Niech z całą szczerością będzie postawiona sprawa żydowskiego uprodukcyjnienia, a wówczas niewątpliwie sprawa żydowskiej kolonizacji zajmie należyte miejsce, bowiem nikt nie wątpi, że najbardziej racjonalny sposób uprodukcyjnienia ptaków niebieskich („*luftmenszen*" polega na pracy na roli". („*Moment*" № 34 — 28 r.).

„Ptaki niebieskie" są odpowiednim materjałem kolonizacyjnym i to na błotach pińskich, które należy jeszcze osuszyć...

Jeżeli tak nierealnie rozumuje jeden z najwybitniejszych publicystów syjonistycznych w skali światowej, to czyż można się dziwić, że ludzie tego pokroju obwiniają Polskę o wszystkie nieszczęścia, które dotykają szerokie masy żydowskie w Polsce, te masy, które oddawna skupiano celowo i nieustannie na naszem terytorjum?

Bo, czyż to uogólnienie — „wydarzenia ostatnich 10 — 15 lat" — użyte w zdaniu wymienionego autora, nie wskazuje, że „troski żydowskie" są związane właśnie z okresem odbudowania Państwa Polskiego?

Że żydzi pod temi „wydarzeniami ostatnich 10—15 lat" rozumieją właśnie niepodległość Polski, na to m. in. wskazuje charakterystyczna karykatura, którą umieścił organ syjonistyczny w Warszawie z okazji odbycia się w roku 1929, w Poznaniu Powszechnej Wystawy Krajowej. Wystawa ta wykazała znaczny rozwój gospodarczy kraju a zorganizowano ją, jak głosiło oficjalne zawiadomienie: „ku upamiętnieniu 1-go 10-ciolecia odzyskanej Niepodległości Państwowej Polski".

A karykatura owa przedstawia związanego żyda, na którym, jak na zeppelinie, w wagoniku zawieszonym u dołu, latają ludzie o wyglądach aryjskich, przypuszczalnie Polacy. Podpis pod karykaturą głosi: „Jedyny żydowski eksponat w Poznaniu — on już trzyma się w powietrzu 10 lat. Najnowszy okręt powietrzny — polski wynalazek" („*Hajnt*"—Warszawa, Nr 103, 1929 r.).

Sens tej karykatury jest jasny: już 10 lat, czyli od chwili powstania Państwa Polskiego, „związany" Żyd wisi w powietrzu. Korzystają z tego Polacy, którzy dzięki temu faktowi utrzymują się na powierzchni, jako pasażerowie owego balonu z karykatury „*Hajnta*".

A zatem niepodległość Polski, czyli względnie samodzielny rozwój narodu rdzennego, jest związaniem żydów...

Kiedy w lutym 1929 r. odbyła się w Warszawie konferencja przedstawicieli prasy żydowskiej, p. dr. Leo Bramson, prezes światowej organizacji „*Ort*" (Berlin)

„zastanawiał się nad przyczynami kryzysu ekonomicznego żydów w Polsce i wskazał, że główną tego przyczyną nie jest judo-fobja. Społeczeństwo żydowskie trawi choroba, która wpływa bardzo silnie na sytuację: my posiadamy za dużo kupców, my nie mamy dobrze wyszkolonych rzemieślników, my nie rozporządzamy dostatecznemi kredytami... Przytem nasuwa się zajmujące zjawisko: różne zdobycze społeczne, każda dobra reforma państwowa, która jest pożyteczną dla innych obywateli, jest złą dla żydów". („*Moment*"—Warszawa, Nr. 44/1929 r.).

Jeżeli każda dobra reforma państwowa, jak stwierdza ten wybitny światowy działacz żydowski, jest złą dla żydów, to czyż żydzi mogą przychylnie zapatrywać się na dobre reformy państwowe w Polsce, czyli na rozwój Państwa Polskiego?

Kiedy w dniu 20 grudnia 1930 r. odbyła się w New-Yorku konferencja między ambasadorem polskim przy rządzie St. Zjednoczonych A. P. i przedstawicielami „*American Jewish Committee*" w sprawie poprawienia położenia ludności żydowskiej w Polsce, p. dr. Cyrus Adler, prezydent tego komitetu żydowskiego, m. in. powiedział:

„W ciągu ostatnich lat, kiedy Polska poczęła rozwijać się w sposób nowożytny, wytwarza się jednocześnie położenie bez wyjścia dla żydów polskich. Dzięki np. ruchowi spółdzielczości, której teoretykiem i twórcą był żydowski mąż stanu Luzzati, i w której żydzi na całym świecie biorą duży udział, w Polsce niesłychanie zaostrza się położenie ekonomiczne żydów". („*Hajnt*" Nr.291/1930 r. Żat).

Jeżeli nowożytny rozwój Polski wytwarza „położenie bez wyjścia dla żydów polskich", to czy nie staje się dla żydostwa koniecznością zamknięcie Polsce możności nowożytnego rozwoju, aby w ten sposób znalazło się „wyjście" dla żydów w Polsce?

Czy nie staje się dla żydostwa koniecznością wykrojenie z ciała Polski szmata ziemi o rdzennej, najtęższej ludności polskiej?

Nie trzeba zapominać, że p. dr. Cyrus Adler jest jednym z trzech następców p. Luis Marshall'a, który stojąc właśnie na czele wymienionej organizacji „*American Jewish Committee*" podyktował w 1919 r. w Paryżu zwycięskim państwom koalicyjnym m. in. rozciągnięcie na Polskę „traktatu o mniejszościach"...

I czy nie jest znamienne, że zupełnie wyraźnie o zmianie granic Polski na rzecz Niemiec konferowali w r. 1926 z ramienia „Anglji" p. sir Alfred Mond, wybitny syjonista, a z ramienia „Niemiec" p. Albrecht Rechtberg, żyd, wybitny przemysłowiec w Nadrenji...

Czy nie jest również znamienne, że podczas pobytu p. premjera Lavala w St. Zjedn. A. P. w październiku 1931 r., kwestję nie narośli pruskiej na ciele polskiem, a kwestję „kurytarza polskiego" i Śląska Górnego podniósł oficjalnie nie kto inny, jak żyd, senator Borah?

P. sen. Borah jest to jeden z najwybitniejszych wodzów żydowskich w zakresie światowym, występujący zazwyczaj w sprawach najważniejszych dla żydów (kwestja zwrotu żydom Erec Izrael

(Palestyny), uznanie Sowietów *„de iure“*, załagodzenie zatargu żydowsko-niemieckiego kosztem Polski i inne).

Czy nie jest znamienne, a zarazem paradoksalne, że te plany żydowskie, kosztem historycznych ziem polskich, są zamyślane właśnie w okresie sięgania przez żydostwo po Erec Izrael, jako po swój kraj historyczny?

Kiedy w XVIII w. przygotowywane były w tajnych gabinetach rozbiory Polski, mało osób wiedziało, gdzie kryli się ważni inspiratorzy rozbiorów, zresztą gdyby nawet wiedziano, Polska byłaby odosobniona w swojej świadomości.

W XX w. jest inaczej.

Świadomość wpływu żydostwa na losy narodów rdzennych objęła już prawie wszystkie narody.

W Niemczech głośno się mówi o „nocy długiego noża“...

Na Ukrainie czekają chwili, kiedy „gazami trującemi“ będą zniszczone kolonje żydowskie...

W Rosji eksperyment „dyktatury proletarjatu“ nie dobiegł jeszcze swego końca, odmalowanego w dwuwierszu ludowym z ostatnią zwrotką — *„Spasaj Rossiju“*.

A w Polsce budzi się świadomość właściwych celów żydostwa i już obecnie, chociaż do czasu nie mówi się o tem głośno, nie jednostki, lecz liczne rzesze wiedzą dobrze, iż projektowany nowy rozbiór Polski byłby zgodny z planami polityki żydowskiej.

A za świadomością idzie decyzja, że rozwiązanie zagadnienia żydowskiego nie może dokonać się kosztem Polski.

K. R.

BAINVILLE O NAPOLEONIE

WOBEC tak wielu książek o Napoleonie nasuwa się pytanie, czy była potrzebna jeszcze jedna? Każdy, kto przeczyta książkę Bainville'a, nie będzie miał żadnej wątpliwości co do odpowiedzi na to pytanie. Bo Bainville potraktował swój przedmiot inaczej, niż znakomita większość biografów Cesarza. Nietyle interesuje go indywidualność Napoleona, ile jego rola i miejsce w dziejach Europy na przełomie dwóch stuleci — XVIII i XIX.

Autor nie zajmuje się teoretycznem zagadnieniem roli jednostki w życiu politycznem, nie roztrząsa kwestji, w jakich rozmiarach wpływają na bieg dziejów ludzkości prądy społeczne, w jakich zaś rozmiarach dążenia, wola i siła wybitnych postaci — polityków czy wodzów. Poprostu przedstawia na przykładzie żywota Napoleona, jak ta wielka indywidualność — kto wie, czy nie największa na przestrzeni szeregu wieków — była wykładnikiem swego czasu, narzędziem prądów dziejowych; przedstawia, jak przedsięwzięcia wojenne Napoleona, jego polityka zewnętrzna i działalność organizacyjna, dadzą się zmieścić, jako jedno ogniwo w nieprzerwanym łańcuchu logicznego rozwoju wydarzeń.

Dla Bainville'a niema żadnej wątpliwości co do tego, że Napoleon był nieodrodnem dzieckiem Wielkiej Rewolucji. Przeznaczeniem jego było utrwalić zdobycze Rewolucji nawewnątrz i przeprowadzić jej program polityczny nazewnątrz. Fakt, że takie były logiczne potrzeby chwili, że koniecznem następstwem przewrotu było szukanie silnej władzy, która potrafiłaby Rewolucję innemi metodami dalej prowadzić, stwarzał miejsce i warunki dla zastosowania właściwości i darów przyrodzonych takiej indywidualności, jak generał Bonaparte. Było potrzebą prądu, który Rewolucję wywołał, było potrzebą ludzi, którzy jej dokonali, zapewnienie trwałości nowemu porządkowi rzeczy; jednym zaś z warunków tego utrwalenia było integralne przeprowadzenie zewnętrznego programu tejże Rewolucji. Program ten zaś określić można w haśle o s i ą g n i ę c i a g r a n i c n a t u r a l n y c h F r a n c j i. W tych granicach naturalnych zaś była położona Belgja. To zaś nawiązało węzeł tragiczny polityki Napoleońskiej.

Bo władaniu francuskiemu w Belgji przeciwstawiła się na przełomie wieków XVIII i XIX Anglja, podobnie zresztą jak przeciwstawiła się zajęciu tejże Belgji przez Niemców w wieku XX-ym. „Historja Cesarstwa — pisze Bainville — jest historją walki o zachowanie Belgji; a Francja nie mogła zachować Belgji bez ujarzmienia Europy celem doprowadzenia Anglji do kapitulacji“. Francja porewolucyjna pragnęła pokoju, Napoleon pragnął poświęcić się organizacji państwa na nowych, wprowadzonych przez Rewolucję zasadach. A jednak Francja dawała co rok 100.000 rekruta, a Napoleon prowadził nieustanne wojny! Działo się to dla zdobycia upragnionego pokoju dla państwa, posiadającego owe granice naturalne, co mogło się stać tylko przez upokorzenie Anglji.

Uderzeniem śmiertelnem dla Anglji miała być wyprawa do Egiptu. Temu samemu celowi służyć miały fantastyczne plany wyprawy do Indyj i realny bardzo, dobrze obmyślany i starannie przygotowany projekt zaatakowania Anglji na jej własnem terytorjum. Gdy to wszystko się nie powiodło, nie pozostawało nic innego jak zrzeszenie wszystkich państw kontynentu europejskiego do zwrócenia się przeciw Anglji, do udziału w blokadzie kontynentalnej, przez którą państwo wyspiarskie miało być uderzone w najsłabsze, a żywotne dla siebie miejsce. Wyprawa do Hiszpanji, której niepowodzenie było początkiem niepowodzeń Napoleońskich, małżeństwo austrjackie, wojna rosyjska — wszystko to były posunięcia antyangielskie. Wśród tych planów zadania ciosu stanowczego groźnemu współzawodnikowi najdroższym był dla Napoleona plan pozyskania Rosji dla swej polityki. Szczęśliwe dni tylżyckie były momentem największej radości i zadowolenia dla Cesarza. Zapowiadały mu one urzeczywistnienie najmilszych zamiarów. Mimo swego realizmu i sceptycyzmu nie mógł on później wierzyć, że serdeczne stosunki z cesarzem Aleksandrem się psują, że utrzymać się nie dadzą. Nawet wyprawa rosyjska 1812 roku, była w jego pojęciu raczej środkiem zmuszenia Aleksandra do powrotu ku przymierzu z Francją, niż rozbicia Rosji. Powolności i wahania w prowadzeniu wojny z Rosją nie dadzą się zrozumieć, jeśli się utraci z widoku ten naczelny cel polityki i wojen napoleońskich — pozyskanie Rosji dla stanowczej i ostatecznej rozprawy z Anglją. Niepowodzenie tego planu musiało już z koniecznością nieubłaganą doprowadzić do Waterloo. Na polach położonych na

terytorjum tej właśnie Belgji, o którą spór się toczył, nastąpiła stanowcza i ostateczna klęska Napoleona. Misji dziejowej patrjotycznej, powierzonej mu przez Rewolucję, nie wykonał. Całą kampanję swego życia przegrał. Pozostała po nim legenda, służąca za materjał wieczny dla myśli i sztuki; pozostała sława, będąca niewyczerpaną skarbnicą życia dla narodu francuskiego; lecz jego wysiłki, zwycięstwa i cała sztuka polityczna nie doprowadziły do trjumfu, gorzej — nie zdołały zapobiec klęsce, całkowitej i ostatecznej. Kto się zgodzi na powyżej przedstawiony bieg rozumowań o dziele żywota Napoleona I-go, ten będzie się musiał także zgodzić na wniosek ostateczny Bainville'a: „*Sauf pour la gloire, sauf pour l'„art", il eût probablement mieux valu qu'il n'eût pas existé*". Byłoby lepiej (oczywiście dla Francji), gdyby był wcale nie istniał! Napisawszy zaś to dramatyczne w swej prostocie zdanie, tak je dalej uzasadnił pisarz francuski: „Wziąwszy wszystko w rachubę, dochodzi się do wniosku, że jego panowanie, które — jak to powiedział Thiers — było dalszym ciągiem Rewolucji, zostało zakończone strasznem niepowodzeniem. Jego genjusz przedłużył, wielkim kosztem, partję, która była zgóry przegrana. Tyle zwycięstw, tyle podbojów, i na co to wszystko? By powrócić do punktu, położonego poza miejscem, z którego rozpoczęła wojownicza Rewolucja i na którym zostawił Francję Ludwik XVI, by opuścić granice naturalne, które dziś znajdują się w muzeum zamarłych doktryn. Nie warto było robić tyle wysiłków, chyba że chodziło o pozostawienie pięknych obrazów dla historji. A ład, który Bonaparte przywrócił, czy wynagrodził on nieład, jakiego narobił w Europie, oraz wywołanie sił, które później zwróciły się przeciw Francji? Co się zaś tyczy państwa napoleońskiego, które przetrwało cztery ustroje, które wydawało się zbudodowanem na podstawie z bronzu, państwo to jest w upadku. Jego prawa padają jedno za drugiem..."

Sąd surowy, lecz oparty o założenia, którym hołduje nowe pokolenie, nietylko we Francji, lecz w większości krajów europejskich. Sąd pokolenia, które odwróciło się od romantyzmu we wszystkich dziedzinach, a więc i w polityce.

Książka Bainville'a jest ciekawa nie tylko ze względu na zagadnienie napoleońskie, które w sposób przejrzysty oświetla. Jest ciekawa jako przykład nowoczesnej myśli politycznej we Francji. Zasługuje na to, by ją przeczytali w Polsce ludzie, zajmujący się polityką i myślący kategorjami historycznemi.

Zresztą oświetla ona także, choć incydentalnie, jeszcze zagadnienia z naszych dziejów. Nie będę tu przypominał, jaką rolę odegrał Napoleon w polityce polskiej wieku XIX-go, jakie miejsce zajęła jego postać w tradycji polskiej, jak kilka pokoleń do tej tradycji się odnosiło... Chcę natomiast zwrócić uwagę na to, jak gruntownej rewizji wymagałyby nasze sądy nie tylko o Napoleonie, lecz o tych, którzy w pewnym momencie związali losy polskie z jego gwiazdą i z jego orłami!

Bo jeśli prawdą jest, że podstawą polityki napoleońskiej było porozumienie i przymierze z Rosją, to jakże mogło się mieścić w ramach jego programu odbudowanie Polski przedrozbiorowej? To, co Polakom obiecywał, i to, co w postaci księstwa warszawskiego dla Polski zrobił, służyło wyłącznie jego celom politycznym, było narzędziem dla osiągnięcia celu głównego i zasadniczego—porozumienia z Cesarzem Aleksandrem. „Napoleon posługiwał się Polską, nie zamierzał jej służyć" — powiada Bainville i mówi prawdę; do tego bowiem był zmuszony przez warunki, w których żył, przez misję, jaką te warunki włożyły na jego barki, przez założenia całej swej polityki. Nie możemy mieć o to pretensji do Napoleona, nie zaciemni nam ustalenie tej prawdy stosunku do jego legendy; lecz wpłynąć to musi na nasz sąd o polityce przodków naszych w okresie napoleońskim. Polityka ta nie mogła być inną ze względu na tradycje, sposób myślenia i psychikę pokolenia, które dało swych synów do armji napoleońskiej, które pamiętało politykę zewnętrzną twórców Konstytucji 3-go maja, którego synowie i wnukowie wywołali dwa powstania na przestrzeni wieku XIX-go. Myśl krytyczna czasów naszych w Polsce, czasów powrotu do realizmu politycznego i do wzorów klasycznych (jeśli się tak wyrazić wolno) w polityce, musi poddać gruntownej rewizji poglądy na dzieje naszej polityki w ostatnich dziesięcioleciach istnienia Polski niepodległej i w okresie niewoli, w okresie panowania „romantyzmu" politycznego, który wiele klęsk na nasz naród sprowadził. Jest to potrzebne nietylko dla ustalenia prawd historycznych, lecz także dla położenia fundamentów pod współczesną myśl polityczną.

STANISŁAW KOZICKI

BARYKA NA ROZDROŻU

STARY BARYKA powrócił do Rosji Sowieckiej ze swej podróży do Polski. Powrócił i opowiada synowi o tem wszystkiem, co w tej Polsce widział, w Polsce, tylko co wyrwanej z ręki wroga, jeszcze dymiącej zgliszczami zniszczenia wojennego, w Polsce głodnych dzieci, spalonych siół i miast, przeoranej okopami, porozrywanej ranami zniszczonych dróg, wysadzonych mostów, porozwalanych fabryk i kościołów.

Potomek nieodrodny pokoleń, co w Niepodległość wierzyły jak w świętość, jak w lek uniwersalny na wszystkie cierpienia Narodu, — widział stary Baryka w tej Polsce cudowne źródło energji— na morzu polskiem, widział brzegi Wisły, ujęte w tafle szklane i wsie widział ze szkła budowane, cudowne ogrzewanie domostw wiejskich, połączonych korytarzami szklanymi, widział genjalne wynalazki, cudowne leki na wszystkie cierpienia.

Broni się od tych ułud ojcowskiej wyobraźni młody Baryka całą siłą swych doświadczeń życiowych, w raju bolszewickim zdobytych, lecz oprzeć się im nie potrafi. A gdy powraca do Ojczyzny i widzi ją taką, jaką jest, nie może pogodzić tego stanu z obrazem swych marzeń, nie może znaleźć wyjścia z tej sprzeczności, nie umie znaleźć sobie miejsca w Polsce takiej, jaka jest, i rusza na spotkanie śmierci na Belweder, chociaż nie wierzy w cel tej wędrówki, jak nie ma zaufania do ludzi, którzy go tam prowadzą.

Pozostały po nich pokolenia, co nigdzie nie chodziły lub zatrzymały się w połowie drogi. Pozostała im nieuleczalna wiara we wszechmoc pań-

stwa niepodległego. Widzą, że jest źle lub conajmniej nie tak dobrze, jak to sobie widzieli w swych i swoich ojców marzeniach, więc rzucają się do naprawy, — ale zawsze od góry — od „ustroju państwa“ i tak przerzucają się od faszystowskiej metody do monarchji, od dyktatury do bolszewizmu.

A nie byle jakie kłopoty ma ród Baryków w Polsce odrodzonej. Musi nie tylko zmienić całą jej postać materjalną, nie tylko postawić domostwa spalone i mosty zburzone, nie tylko odbudować fabryki i folwarki, nie tylko pozbyć się obcych i ułatwić powrót swoim, — trzeba przefasonować dusze tych miljonów, i tych co siedziały w kraju pod okupacją i tych, co w dalekiej wędrówce na wschód tyle widziały i przeżyły.

Trzeba z trzech zaborów zrobić jedną Polskę, z tylu typów poddanych i niewolników — jednego wolnego obywatela. I trzeba mu uprzytomnić, że teraz już prawo ma być przestrzegane, bo teraz już to nie jest wrogie, przeciwko niemu skierowane narzędzie chytrej przemocy, tylko jego własne, wolne prawo.

— — — — — — — — — — — —

Tyle ma przeszkód na tej drodze ród Baryków! Inne narody wyszły z wielkiej wojny z jedną legendą walki o wolność Ojczyzny, — Baryka ma szereg epizodów bohaterskich. Pod różnemi mundurami biły zgodnie serca polskie, zabrakło jednej myśli polskiej. Więc gdy inni mają legendę, Baryce zostały orjentacje i spory orjentacyjne.

Przebrzmiały już dawno echa wojny, zmieniły się stosunki, a ród Baryków ciągle się biedził z „orjentacją“. A kłócił się o nią tak namiętnie, że nie spostrzegł się, jak pomiędzy walczących wsunął się ten trzeci, ten, co w okopach najlepszy był do „fasowania“, a w pochodzie najmężniejszy wobec bezbronnych, postrach ciemnych zaułków wielkich miast — towarzysz Pochroń.

Wsunął się niepostrzeżony, ten nieznany sprawca naszej polskiej rzeczywistości i odrazu miejsce zajął poczesne. Paszportu nigdy nie miał. Nazwisko zmienił,—jak inni. Nad rodem Baryków, co „sercem myśleli“, górował nie tylko kunsztem wytrychu do wszystkich drzwi prywatnych i publicznych, do każdej kasy i każdej misy. Pochroń myślał na zimno, bez uniesienia. Kiedy Barykowie stawali kupą bezładną i ciągle coś mieli sobie do wyrzucenia, Pochroniom starczyło gwizdnąć w noc ciemną w pustym zaułku, ażeby znaleźć przy swym boku wiernych pomocników i wspólników. Pochroń w lot dojrzał wszystkie słabe strony Baryków, ich rozterkę i bałwochwalczą cześć dla Państwa. Wnet stał się sam „państwowcem“.

Pojętny był uczeń i z początku przysparzał poczciwym Barykom dużo serdecznej radości swem nawróceniem. Ale zachwyty się skończyły jeszcze prędzej, niż się urodziły. Pojętny uczeń prześcignął wkrótce swych współobywateli w sztuce ubóstwiania państwa. Teraz już, kiedy Pochronie powracali do swego rzemiosła przedwojennego, a zrozpaczony Baryka wołał:

—„łapaj złodzieja“—odpowiadał mu stanowczy chór Pochroniów, zawsze solidarnych, zawsze czujnych:

— ręce precz, to sprawa państwowa...

— — — — — — — — — — — —

Nie sami tylko Pochronie byli źródłem zmartwienia dla rodu Baryków. Spostrzegli niebawem, że w tej wolnej Ojczyźnie otacza ich tłum ludzi bez oblicza, ludzi tak plastycznych, że jak gips posłuszny można ich każdej chwili odlać w każdą formę, ludzi tak czujnych i sprawnych, że zginają się nie tylko przed przeszkodą, lecz na samą myśl o przeszkodzie, że gną się i pną nawet bez widocznej jeszcze potrzeby, — ot tak na wszelki wypadek, z odwiecznego nawyku do kija i knuta.

Więc biedzi się ród Baryków nad sprawą publiczną w Polsce... Jeszcze się łudzi, że jakoś uda mu się przestawić figurki krajowych mandarynów, poobcinać im warkocze na nowszą modłę, a już będzie lepiej...

Setnie pracują nad temi złudzeniami Baryków różni „powołani“. Z potężnych sikawek leją zimną wodę na młode głowy po wszystkich miastach uniwersyteckich. Gazy łzawiące gryzą oczy, wpatrzone w lepszą przyszłość.

Ale ród Baryków trwa w swoim „sposobie myślenia“ i zachowuje jeszcze swój „punkt patrzenia“. Jeszcze się obraża, gdy mu się mówi:

— Baryko weź się do pracy...

lub:

— Baryko weź że się do miotły...

Każde takie przypomnienie rzeczy prostych, codziennych, wymagających jego własnego wysiłku, wydaje się Baryce jeszcze dotąd czemś obniżającem poziom jego życia duchowego.

Prawda, Baryka już robi postępy. Wie już napewno, że Wisła nie ma brzegów szklanych. Nawet wprost przeciwnie. Wie, że i z tem źródłem energji na naszem morzu nie jest znowu tak bardzo pięknie. I korytarzy szklanych nie widać po wsiach polskich.

Od czasu do czasu widzi, jak z poza rózg liktorskich wysuwa się maczuga jaskiniowca. Ale jeszcze sobie kalkuje.

— W okopach siedziałem...

— Podatki płacę...

— Do wyborów staję...

— Koncepcję mam i to nie byle jaką. Uchwały uchwalam, a jak dobrze pójdzie to i w gazecie ogłaszam. A teraz, to miałbym zakasać rękawy?

Ale Pochronie raz po raz płatają mu jakiegoś brzydkiego figla. To znani, to nieznani, a zawsze nieuchwytni. Więc znowu Polityka, ta stara sekutnica, korzystając z jego bezczynności, zatruwa mu życie, gdzie może. Zamknął się w domowem ognisku, więc mu włazi do domu, rozwodzi go z żoną, bałamuci mu dzieci po szkołach, zagląda do garnka i wyciąga stamtąd ostatnie krupy...

Nie pomagają ani odsiedziane w swoim czasie okopy, ani podatki, ani głosowanie...

Ród Baryków jeszcze się waha. Ale że lubuje się po dawnemu w swoich wieszczach i tam zwykł szukać dobrej rady, więc coraz częściej zagląda do „Pana Tadeusza“ i coraz bardziej zastanawiać się zaczyna nad radą zacnego Bernardyna:

„Więc nie dość gości czekać, nie dość i zaprosić, —
Trzeba czeladkę zebrać i stoły pownosić,
A przed ucztą potrzeba dom oczyścić z śmieci,
Oczyścić dom, powtarzam, — oczyścić dom, dzieci...“

IDEM

NA WIDOWNI

Twórczość dziejowa i literatura. — Sto lat temu. — Dusza wróciła do ciała. — Jak się to wyraża we Wrześni, w Krakowie, na Śląsku. — Literaturę stawiać trzeba pod wiatr dziejów. — Surogaty penklubowe i samodział. — Wielcy pisarze i dzieje.

KIEDY nasz rydwan stuknie o próg nowego roku, wtedy sobie uprzytomniamy rytm czasu, który biegnie, i wtedy dusza wpada w melodję historji, zaczyna myśleć kategorjami czasu. Umysł nasz przywykł do akordów dziesiętnych; stąd ciągłe jubileusze; komu się śpieszy, to liczy na piątki. Najuroczystsze są stulecia; to już są akordy narodowe.

Co to było 1832? A no: martyrologja. Waliły się resztki naszych instytucyj państwowych. Zamknięto właśnie uniwersytet warszawski. Młodzież inteligentna odeszła za kordon. Niektórzy pod obcemi nazwiskami błąkali się po Galicji, ścigani jak zwierzęta. Znaczna część elity osiadła w Paryżu. Mickiewicz napisał „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego“ i trzecią część „Dziadów“.

Genjusz narodu odbił się od ziemi, wypadł nawet z kolei czasu, wzbił się w stratosferę, gdzie, mimo bliskości słońca, straszny chłód. Gnała go rozpacz: „Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra. — Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu“... Otchłań! A na granicy otchani ustaje historja.

Przepaść — tysiąc lat — pusto — dobrze — jeszcze więcej!
Ja wytrzymam i tysiąc tysiąców tysięcy...

Tak się czuł Konrad. I to był grzech. To już nie emigracja z kraju, to ucieczka z życia. Dzieje człowieka związane są z ziemią, czas trzeba wyrabiać z bryły życia. Zadaniem człowieka jest robić historję.

Dusza polska wróciła teraz do swego ciała. Spełnili to aniołowie, jako przyrzekli w scenie V „Dziadów“: „duszę wrócili życiu ...I znowu złożyli w ciało, jak w kolebkę złotą“.

— — — — — — — — — — — —

Pracę ducha narodu widzieć można najlepiej w literaturze, bo tam ona się manifestuje, jako praca myśli. Sto lat temu Maurycy Mochnacki sformułował istotę literatury, jako system pracy myślowej, „mającej najbliższy i bezpośredni związek z cywilizacją i duchem narodu“. To też, jeżeli chcemy sprawdzić, czy istotnie naród, po odzyskaniu wolności tej pracy, się odradza, to szukajmy śladów w literaturze, choćby ona czasowo — wskutek przesileń w cywilizacji — niezbyt bujnie myśl manifetowała.

Nie szukajmy pulsu życia w literaturze, wytwarzanej przez ludzi bez ziemi na użytek jarmarków międzynarodowych. Nie każdy też organ, mający w tytule nazwę literackiego, jest wyrazem tej pracy myśli, o którą chodzi Mochnackiemu i nam. Od najświetniejszych surogatów daleko bardziej interesujące są skromne nawet i nieudane próby myślenia samodziałowego. Dla mnie każda myśl, choćby niepozorna w formie, jest cenna, jeśli widzę, że dąży do wznoszenia nad sobą domu ze znakiem krzyża na progu, jeśli widać, że chce być cząstką dziejów.

Dla tego z zainteresowaniem przeglądam pierwsze zeszyty czasopisma „Wici“, wydawanego we Wrześni. Pamiętacie Wrześnię? Oto „dzieci wrzesińskie“ rozsyłają wici. Motyw główny ich poczynań jest taki:

„Równe, szare dni wielkopolskie — oto są strofy, oto rytm naszej pieśni. Jak woły robocze wloką się dni nasze, wprzężone w pługi mozolnej, powszedniej pracy... Kroczymy wpatrzeni w brunatne skiby odwalanych lemieszem godzin. I niema w dolinie naszej szczytów, z których wyniosłości rozprężyćby można pierścień widnokręgu aż po najdalsze krańce. Więc jeśli przytłacza nas nazbyt niski klosz nieba, a monotonna równinność ziemi więzi, cóż nam począć? Leży przed nami konieczność: Musimy sami stworzyć sobie szczyty i sami odnaleźć w sobie głębie!“

Zupełnie dobre samopoczucie, że trzeba się z pracą swoją duchową nawiązać jakoś do tego, co jest, do robót dnia powszedniego. Słusznie redaktor „Wici“ rozumuje, że ten trud literacki „może jest nierównie większy, niż codzienne przeorywanie gleby“. „Niewolno nam ziemi, matki naszej, spychać do roli ślepej robotnicy“. Ale mniej pewną ręką kreślony jest wniosek, czem ma być ten trud. Utrzymuje, że będzie to „niedziela“ wobec dnia powszedniego, że to będzie hodowla kwiatów: „Niesiemy kwiaty!“ I kończy fałszywą nutą:

„Więc nadejść musi dzień, w którym wszystkie pola doliny, zamiast w chlebodajne zboża, zakwitną w same tylko maki i modraki“.

To byłoby bardzo źle. Lepiej niech tu faluje gęste zboże. Tam, gdzie tylko maki i modraki kwitną, jest głód i wstyd dla kultury. Nie trzeba literatury podawać za trud bezowocny i szkodliwy. Życie duchowe jest piękne swoją górnością, ale nie przeciwstawia się dolnemu; ono je uzupełnia i wciąga w górne regjony. Wnioskowi temu, żeby był dojrzały, nie towarzyszy obraz, że tem kwieciem zapowiadanem ma być myśl, przenikająca całe życie w głąb i ciągnąca je w górę. Ale mniejsza o to, jak nazwać fakt; ważniejsze jest to, że istnieje ten fakt jako potrzeba uduchowiania rzeczywistości.

Te same „Wici“ w nr. 3 (artykuł p. Szyperskiego) stwierdzają, że wśród inteligencji daje się wyczuć jakiś popęd literacki do faktu i prawdy życiowej. To samo

„w sztuce, zwłaszcza w muzyce. I tu dążność i upodobanie w programowości, wyraźnym rytmie, zdecydowanym motywie, „logicznej“ harmonji, dążność do pojęcia rozumem, nie wyczucia duszą, upodobanie w jasności. To samo w nauce i krytyce literackiej. Dawno już zarzucono niedopowiedzenia romantyczne, mrzonki metafizyczne, a podchodzi się już ze „szkiełkiem“ pod niezachwiane — zdało się — dogmaty“.

Spostrzeżenie wydaje mi się trafnem. Poprostu Polska czuje potrzebę w nowem położeniu zrozumienia siebie, zorganizowania duchowego. Nie o kwiaty jej chodzi, ale o myśl, o to, co Mochnacki nazywał „uznaniem siebie we własnem oddzielonem jestestwie“. Polska znajduje się w okresie nowego rozwoju, ktory się poczyna w odnawianiu osobowości.

— — — — — — — — — — — —

W Krakowie wznowiono „Gazetę Literacką“ (miesięcznik). Punktem wyjścia tego wydawnictwa jest nietyle potrzeba nawiązania literatury do pracy ziemi, jak tam we Wrześni, ile poczucie się literatów krakowskich w dostatecznej ilości, aby stworzyć własne literackie ognisko. Ta ilość połączona z różnorodnością niewątpliwie nie pozwoliła pismu rzucić jakiegoś określonego hasła. Nie wiem, czy redakcja za swoją uznaje wiarę p. Jerzego Brauna, który sygnalizuje nadejście nowej ery, nie polegającej bynajmniej na odradzaniu się osobowości narodowej. Wręcz przeciwnie:

„W zenicie dziejów rozbłysł przed nami jakiś nowy, gigantyczny cel, w którym zlewają się w jedność i utożsamiają nasze wszystkie cele indywidualne i zbiorowe, nasze wszystkie marzenia społeczne, utopje i ideały. Tym celem jest Ludzkość cała, uzdrowiona i przemieniona, potężna rozumem i dobrobytem, wyzwolona od klęsk i plag, jakim wciąż nieuchronnie podlega. Ideał takiej Ludzkości staje się dzisiaj gwiazdą przewodnią dla filozofów, kapłanów i poetów, dla mężów stanu, działaczy społecznych, ekonomistów. Powstaje idejà nadczłowieka i nadludzkości...“ (nr. 2).

„Stanęliśmy już — pisze p. Braun (w nr. 1) — u wrót nowej Ery, przepowiadanej od tak dawna przez proroków i poetów...“

Ja jednak nie wierzę p. Braunowi, ani tym prorokom i poetom, aby się zanosiło na jakieś nadczłowieczeństwo i na jakiś nadnaród w postaci Ludzkości (przez duże L). Wierzę chętniej tym, którzy uważają, że ideałem jest być człowiekiem prawdziwym i to, jak zawsze z ideałami — trudne jest do osiągnięcia. Radziłbym też krakowianom, aby nie czekali cudów, a nawet przestali wierzyć w samoistny byt literatury, oderwanej od pracy społeczeństwa.

Mojem zdaniem literaturze nic nie pomogą ani proroctwa, ani programy. Rzeczywistością, na której budować możemy, jest kultura, dla niej potrzebne są programy. Nie jest programem czekanie na genjuszów. Trzeba pracować na myśl, a literatura sama przyjdzie, gdy myśl nią zakwitnie. Genjusz twórczy w każdej dziedzinie dany będzie tym, którzy świadomie pracują nad dziejami swego środowiska i to na wszystkich jego kondygnacjach.

Może istnieć w kraju wielkie ognisko literatów, czekające nagród i sławy, a dzieje narodu i Ludzkości ani krok się od tego nie poruszą. Na Śląsku nie było wielkiej poezji, a mamy tam swój bastjon i — jeżeli gdzie, to właśnie na zachodzie możemy się najprędzej doczekać kwitnienia duszy polskiej.

„Wieża prac ludzkich“ (świat cywilizacji) ma wiele pięter, ale myli się, kto myśli, że „twórczość“ zaczyna się dopiero tam, gdzie się zatyka chorągiew poezji. Na nią trzeba pracować od spodu. Ktokolwiek czemkolwiek przyczynia się dynamiką swego ducha do dziejów cywilizacji, ten staje się i współtwórcą poezji narodowej. Odwrotnie, nie ma wielkiego poety, którygby nie brał ducha twórczego z dziejów swego narodu (niekoniecznie politycznych). Ten prаślązak, który dawał nazwy swej ziemi, był pierwszym swego kraju poetą. Zastanawiające są słowa uczonego lingwisty Jana Rozwadowskiego, przytoczone w „Zaraniu Śląskiem“ z racji udziału Śląska w pracach nad słownikiem geograficznym:

„Cały zapas nazw geograficznych każdego narodu jest wielkim rozdziałem wielkiej księgi żywota, jaką naród z woli Bożej układa“.

Lud śląski nie tylko ziemię zamarkował, on czynnie chce brać udział w dziejach narodu, od którego odcięty był w ciągu 600 lat. W doskonale redagowanem, przemiłem i bardzo wartościowem „Zaraniu Śląskiem“ (zeszyt ostatni) znakomity już dzisiaj pisarz pochodzenia śląskiego, Gustaw Morcinek, stwierdza taki fakt:

„Wszystkie cztery powstania śląskie są jedynemi powstaniami polskiemi o charakterze wybitnie ludowym, a uczestnicy ich składali się w 98 procentach ze Ślązaków“.

Czy myślicie, że takie kartki w historji narodu, zapisane przez lud, nie warte są literatury i czy lud, który to potrafi, nie zdoła pracować w literaturze pięknej? Dzisiaj ma już bogatą sferę inteligencji własnej i pisarzy utalentowanych.

— — — — — — — — — — — — — — —

Moi panowie, wieszczący nową erę ludzkości beznarodowej lub kpinkujący na rozdrożu literatury z haseł „Oświata ludu — dokona cudu“, lub „Jeszcze Polska nie zginęła“ („Gaz. Lit.“ nr. 1), ja wam powiem, że należy się poważnie zastanowić nad stosunkiem literatury do narodu. Nie trzeba się wstydzić tego prostego zagadnienia, choćby z was szydzili penklubiści z międzynarodowego związku hotelarzy, tow. wagonów sypialnych i biura Cooka.

Trzeba przywiązać pewną wagę do tej okoliczności, że wszystkich naszych wielkich pisarzy wyniosło na wyżyny dziejowe nie co innego, tylko wichr dziejowy, któremu zawierzyli swe skrzydła. Więc Mickiewicz — jego „Dziady“ to zjawisko dziejów polskich, a w Krakowie Wyspiański: cóż było jego tchnieniem twórczym: jak nie wichr dziejów? A Sienkiewicza sława? A Prus, który jest wykładnią epoki swojej? Myślicie, że co innego było mocą twórczą Kasprowicza? Wszystko, co było w nim ogólno-ludzkiego, miało zaród w miłości i trosce domu własnego. Do was to, dzieci wrzesińskie z dzisiejszych „Wici“, do niedawna katowanych, zwraca się ten wielki poeta w swoich „Drogach Krzyżowych (1906):

A wy, dziecięta chłopskie! Ja wasz brat
Pewnieć najbliższy, pragnę, aby ślad
Waszej Kalwarji, twardy i daleki
Błogosławiony był przez wszystkie wieki,
By na filarach waszych męstw i chłost
Oparł się zbawczy nad przepaścią most!

Żeście dzieje sami robili, wasz brat stał się poetą, współtwórca dziejów, i razem rzuciliście „nad przepaścią most“ do Polski dzisiejszej.

Sztukę trzeba stawiać do wiatru ducha dziejów narodu; jego ziarno ma ona przerabiać na chleb żywota wiecznego. Sztuka, że łączy dzień szary z wiecznością, dlatego jest czemś świątecznem. Ale to korona pracy i walki, nie podarek za gapiostwo.

Jeżeli za swoją uznajemy formułę Norwida:

I tak ja widzę przyszłą w Polsce sztukę,
Jako chorągiew na prac ludzkich wieży,—

to musimy tak właśnie rozumieć jej sens, jako jednoczenie literatury z duchem dziejów narodu.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

W PRZEMÓWIENIU, JAKIE Z RACJI ŻYCZEŃ NOWOROCZNYCH wygłosił p. Prezydent Rzplitej do ambasadorów i ministrów pełnomocnych państw zagranicznych, temi słowy dał on wyraz uczuciom, przepełniającym serce jego w stosunku do narodów obcych, dalekich:

„W rzeczy samej, ta symboliczna data noworoczna wznawia we wszystkich sercach nadzieję, a umysły, znużone nieustannym wysiłkiem i ciężką walką, pragną widzieć w niej zorzę lepszego jutra. Te dążenia odzwierciadlają się w uczuciach, owianych serdecznością bardziej braterską, bardziej bezpośrednią, niż w każdej innej chwili... Jedyny środek, mogący zaradzić złu, widzimy w rozbrojeniu moralnem narodów, które wyłącznie potrafi stworzyć atmosferę zaufania, niezbędną dla skuteczności wszelkich przedsięwzięć, dążących do pacyfikacji świata“.

W tymże dniu, w noworocznym artykule wstępnym, naczelny organ rządzącego obozu, „Gazeta

Polska", temi słowy oświetlał wewnętrzne położenie polityczne w kraju:

„Jeśliby kiedykolwiek zaistniał taki układ stosunków, że będąc nadal przekonani o swej słuszności, czulibyśmy się bezsilni do jej realizacji—u w a ż a ć b ę d z i e m y p r ó b ę s i ł z a p o t r z e b n ą i p o d e j m i e m y j ą, choćbyśmy mieli głowy nałożyć, tak jak zrobiliśmy to w r. 1926. Nie życzymy sobie jednak, ani naszym przeciwnikom, ani przedewszystkiem państwu, tego rodzaju prób w przeciągu roku najbliższego — skoro już taki termin data dzisiejsza nam narzuca; albowiem dla nas byłoby to rozproszeniem sił i uwagi, potrzebnych na większe rzeczy — naszym przeciwnikom przyniosłoby jedynie nową kompromitację, której nie zrównoważy s p o s o b n o ś ć d o o d g r y w a n i a w o b e c ś w i a t a r o l i m ę c z e n n i k ó w i o f i a r".

„Serce", „uczucia owiane serdecznością... braterską", „jedyny środek... w rozbrojeniu moralnem", „atmosfera zaufania" — to dla o b c y c h, tego w Sali Rycerskiej na Zamku słuchali licznie tam zgromadzeni ambasadorowie i posłowie państw cudzoziemskich.

„Uważać będziemy próbę sił za potrzebną i podejmiejmy ją... tak jak zrobiliśmy to w r. 1926" — to dla w ł a s n y c h r o d a k ó w, to mógł czytać każdy obywatel—Polak, jako powinszowanie noworoczne w dniu, w którym „umysły znużone.. ciężką walką" pragną widzieć „zorzę lepszego jutra".

Prawda, jakie to ładne, jak bardzo pielęgnujące w społeczeństwie poczucie solidarności narodowej i jakie — hm... jakby się tu wyrazić... — m o c a r s t w o w e...

NIEZWYKŁE ZAISTE ZDARZENIE ZANOTOWAĆ WYPADA w związku z odezwą Międzynarodowej Federacji Pen-klubów do rządów państw świata w sprawie prześladowania więźniów politycznych. „Od czasu do czasu" — czytamy — „sumienie świata dotknięte i wstrząśnięte bywa wiadomościami o prześladowaniach, którym ulegają ci i owi ludzie to w tem, to w innem państwie, którzy tak z powodu swych politycznych, jak i religijnych przekonań dostali się do więzienia. Pozwalamy sobie tedy zwrócić uwagę na to, że rządy właśnie we wszystkich tych wypadkach zobowiązane są na to kłaść nacisk, aby w ten sposób uczucia ludzkości nie były obrażane. Szczególnie też na to zwracamy uwagę rządów, że nic tak nie wzbudza niechęci świata do jakiegoś państwa, jak powiadomienie świata o takich przestępstwach wobec więźniów politycznych i religijnych i że podobne prześladowania w dzisiejszych czasach nietylko nie dadzą się zataić, ale wcześniej czy później znane są całemu światu". Wśród podpisanych przedstawicieli 35 państw w ten sposób odezwali się i do rządu polskiego pisarze polscy J. Kaden-Bandrowski i F. Goetel. Takiej eks-terytorjalnej czułości sumień nie notują chyba dzieje akcji humanitarnej. Ani jeden, ani drugi nie odezwali się w kraju. Nie wstyd było milczeć w ojczyźnie, wstyd nie przyłączyć się do międzynarodowej odezwy literatów. Szczególnie jaskrawy jest wypadek J. Kadena-Bandrowskiego, jednego z redaktorów „Gazety Polskiej". Mężny pisarz to, co w kraju uważa za akt państwowo-twórczy, wobec zagranicy potępia. Tu ze Sławkiem aprobuje, tam z Chestertonem się oburza. Tu jako prawy sanator utożsamia rząd z państwem, tam w gronie międzynarodowem zwraca uwagę rządu na prześladowania, nie obawia się być anty-państwowym. W miedzi ryć takie nazwisko.

ZATARG ZBROJNY CHIŃSKO - JAPOŃSKI W MANDŻURJI, mimo sukcesów oręża japońskiego, nie wszedł jeszcze zapewne w fazę ostatecznych rozstrzygnięć. Nieprędko, być może, wyjaśni się sytuacja polityczna na Dalekim Wschodzie; ale wyjaśniła się już znakomicie i ponad wszelką wątpliwość rola Ligi Narodów, jako wieszczki pokoju w zatargach między wielkiemi mocarstwami. Wypadek był klasyczny. Japonja, członek Rady Ligi i wielkie mocarstwo, wystąpiła jako napastnik w stosunku do bezwładnych Chin. Sygnatarjuszka uroczystszych umów międzynarodowych, mających zapewnić pokój: statutu Ligi i paktu Kellogga, zajęła wojskiem Mandżurję, kraj, gdzie na trzydzieści miljonów ludności chińskiej przypada 200.000 Japończyków. Chiny (jakże to pouczające) — oddały się w ręce Rady Ligi. Mamy tu wszystkie elementy, które powinnyby wywołać interwencję Ligi i zastosowanie „sankcyj". Napaść, pogwałcenie umów międzynarodowych, odwołanie się napadniętego o pomoc do Ligi. Rezultat: powstrzymanie się Ligi od interwencji — w interesie Pokoju. W interesie pokoju zostawić należy napastnika przy jego zdobyczy: bo szybko i stanowczo zdobył. Roztropne postępowanie Ligi oszczędziło światu powikłań wojennych, i nikt nie ucierpiał — oprócz napadniętego. Nie ucierpiał nawet *„prestige"* Ligi — bo okazało się, że Liga zbyt ważne sprawy załatwia, żeby dbać o *„prestige"*. Nie potrzebuje go, nie ma. Krępowałby, byłby balastem. Przewrót ten uświadomiła sobie opinja na Zachodzie. „Gdy wyłoni się następny zatarg, już nam nie powiedzą, że w grze jest *„prestige"* Ligi" — pisał najwybitniejszy może z publicystów angielskich, Garvin, w numerze gwiazdkowym swego tygodnika.—„W razie, nowego groźnego kryzysu politycznego, gdy w sporze będzie jakieś wielkie mocarstwo, możemy zgóry być pewni, że Rada Ligi powstrzyma się od wszelkiej interwencji, dopóki nie zgromadzi najpełniejszego materjału informacyjnego, dotyczącego stron obu. Przedewszystkiem będzie się starała doprowadzić do rokowań bezpośrednich między stronami zwaśnionemi, a odmowy z którejkolwiekbądź strony nie będzie dobrze widziała. Czynnie pośrednicząc, Rada zostanie zarazem bezstronna i pojednawcza, i niełatwo wystąpi z interwencją"... Jak widać, nawet względy prawne, nawet statutowy obowiązek nie skłonią jej do tego, jeśli napastnik działać będzie szybko i skutecznie. „Nadewszystko zaś jest ważne, aby zwolennicy Ligi, jeśli droga im sprawa pokoju, nie rzucali przedwcześnie pogróżek o zastosowaniu „sankcyj" w stosunku do jednej ze stron spór wiodących". Znakomicie sobie wyobrazić można, że w razie np. nagłego ataku niemieckiego na Pomorze, ani pogróżki, ani „sankcje" nie będą zastosowane przedwcześnie. Liga postępowaniem w zatargu chińsko-japońskim określiła swoją rolę w zatargach przyszłych. Opinja na Zachodzie określenie to przyjęła z uznaniem do wiadomości. Czas i u nas zorjentować się w sytuacji i zmienić papuzią frazeologję pacyfizmu na język nowocześniejszy.

HERBARZ NASZEJ DYPLOMACJI. A więc *magna pars*, sam pan inżynier, technik od Ligi Narodów czyli Franciszek Sokal z Sokala. Tak jak Warszawski z Warszawy, Płoński z Płońska Wysokiego stopnia dostojnik masoński, pracuje cicho: przeważnie w kuluarach i za kulisami.

Druga szara eminencja naszej dyplomacji, też specjalista od Ligi Narodów, pracujący na rozległych terenach polityki międzynarodowej, specjalista od bakcylów czyli p. Rajchman, fundator progermańskiego „*Polish Information Committee*", instruktor i kurator p. A. Zaleskiego. Onże p. Rajchman syn znanego na gruncie warszawskim Rajchmana od Filharmonji, a brat panny Rajchman z domu, potem z męża Radlińskiej, pseudonimu słowiańskiego Orsza, speca oświaty i kultury polskiej dla spragnionych.

Pan Rundstein, bodaj z Warszawy, specjalista od umów międzynarodowych.

Pan Gliwic Hipolit, z dawnej rosyjskiej Prodamety, zasiedziały w stosunkach żydowsko-rosyjsko-petersburskiej finansiery.

Pan Mühlstein, do niedawna radca i kierownik prasowy naszych poselstw, a teraz wprost cały poseł w Oslo. Do niedawna tamże rezydowała pani Lenin-Krupskaja. Tedy miejsce reprezentacyjne.

Pan Litauer, korespondent londyński Pata, z warszawskich Litauerów, bardzo zdolna rodzina z sarmacką fantazją. To też pana Litauera, tego od Pata, ponosi i robi *bluffy*. Niedawno zrobił wywiad z Shaw'em. Pat rozesłał, a tu się okazało, że z tym Shawem było całe paskudztwo, że on wogóle mówił zupełnie co innego. Ajajaj! Albo ten wywiad z Nachumem Sokołowem! Kto go o to prosił? Sokołow troszkę zwymyślał Anglików. Taki wywiad ogłosić urzędowo—będzie źle; chociaż funt spada. Nieogłosić, jeszcze gorzej, przecie Sokołow broni żydów palestyńskich. Rada w radę, Sokołow junior, ten z „Gazety Polskiej", znalazł wyjście: ogłosić wywiad „nieurzędowo" i wilk syty i owca cała. Ajajaj, ten Litauer, poco on warzy takie piwo, niech je sam pije, nieprawdaż? Tymczasem przez ten czas min. Zaleski dopiero co przyjął za bytności swej w Londynie onegoż Nuchuma Sokołowa, prezesa wszechświatowej organizacji syjonistycznej.

Neuman, pan Neuman też jest w dyplomacji i on się też troszeczkę chwieje, on jest taki nerwowy.

Zato pp. Wasserberg, Frenkiel, Gincburżanka i różne inne steiny, których jest parę mendli w M.S.Z., nie tracą jeszcze zimnej krwi.

Pan Nussbaum obrabia w Pacie sprawy gospodarcze, pan Szwajcer czyli Jotes czynny w kulturze, literaturze i sztuce, które propaguje przez Pata, a pan Librach, utalentowany, niezmordowany pan Librach kontroluje z ramienia M.S.Z. politykę zagraniczną naszej urzędowej ajencji telegraficznej.

Czyli wszędzie to samo: pułkownicy na front, a za kulisami semity.

Wszyscy myśleli, że to Wojski gra jeszcze, a to Jankiela echo brzmiało.

SZKOŁA A POLITYKA

Od dawna uważa się szkołę za „*politicum*". Dziś, gdy obejmuje ona coraz szersze zakresy, gdy nie ogranicza się do samego nauczania, lecz dąży do całości wychowania, gdy stała się powszechną, a nie tylko przywilejem wybranych sfer, jej doniosłość jeszcze wzrosła. I nie dziw, że poznawszy jej doniosłe znaczenie starają się wyzyskać ją dla swych celów różni politycy. Szkoła, jak polityka, ma pracować dla narodu i państwa, względnie jego poszczególnych czynników, dynastji, rządu, a nawet partji, koterji, może poszczególnych osób. Szkołą posługują się czynniki kierownicze, starają się ją wyzyskać opozycyjne, rewolucyjne, wręcz wrogie ustrojowi, czy nawet samemu państwu.

Niewątpliwie zaznaczają się wyraźne punkty styczne, tak szkoła, jak polityka bowiem stanowią składniki współczesnego życia cywilizacyjnego, związanego z danem społeczeństwem, opierającego się na przyrodzonych czynnikach i historycznym rozwoju. Ale byłoby błędem zacierać granice, lub podporządkowywać jedną drugiej, ściśle mówiąc szkołę polityce, bo o przeciwnem podporządkowaniu nikt chyba nie myśli.

Z właściwości wspólnych podnieść należy przedewszystkiem troskę o dobro społeczności, której ma służyć. Odstępstwa od tej zasady muszą być uznane za grzechy i występki. Szkoła, któraby nie myślała o dobru wychowanków i potrzebach społeczeństwa, dla którego ma wychowanków przygotować jako wartościowych obywateli, któraby miała na oku uboczne cele, jak interes właściciela, karjerę nauczycieli, a choćby pusty rozgłos i sławę, mijałaby się ze swem szczytnem posłannictwem. Podobnie polityka powinna mieć na oku dobro społeczeństwa, któremu służy, dlatego też wyżej musi się postawić kierunki polityczne, obejmujące całość społeczeństwa, niż wszelkie ugrupowania zawodowe i kastowe, a wprost na potępienie zasługują wszelkie kliki i koterje, jako nie pracujące dla społeczeństwa, lecz w imię polityki na niem żerujące.

Druga wspólna cecha, to konieczność oparcia się o naturalne podłoże i związek z przeszłością i tradycją historyczną. Bez tego byłyby to tylko nierealne marzenia i teorje, niewytrzymujące próby życia, o czem mieliśmy sposobność niejednokrotnie się przekonać, gdy próbowano bezmyślnie przeszczepić na nasz grunt pomysły zagraniczne, tam może nawet wysoce wartościowe, ale nie dostosowane do naszych potrzeb, sztucznie tylko i jakby pod kloszem wegetujące, albo nawet wprost szkodliwe.

Inaczej natomiast z bieżącą teraźniejszością. Polityka nią przedewszystkiem żyje, nie rzadko dla niej poświęca przyszłość, bierze ją w całości taką, jaka jest, dostosowuje do swych potrzeb i przerabia na swą korzyść. Jedynie prawdziwie wielcy politycy i statyści sięgają w przyszłość daleką, poczynania swe regulują trafnem przewidywaniem odległych następstw. W ocenie teraźniejszości liczy się z realną rzeczywistością, uwzględnia całość i wszelkie szczegóły, nieraz drobiazgi. Szkoła inaczej. Nie może ona wprawdzie zasklepiać się w samej przyszłości, albo żyć w oderwaniu od życia, postulat aktualizacji pracy w szkole jest zupełnie słuszny, ale z uwagi na jej swoiste, a wzniosłe cele i zadania wychowawcze konieczne jest dokonanie selekcji i wprowadzenie tylko tego, co godzi się z ideałami, jakim służy, wprowadzanie pełni życia i wszelkich brudów i mętów byłoby zbyt ryzykowne. Nie można wprawdzie strusim zwyczajem zamykać oczu na zło, ale, mówiąc o niem, należy je podać tylko w razie potrzeby niezbędnej na odpowiednim stopniu, w bezstronnem oświetleniu i właściwej formie. Pamiętajmy o pięknej maksymie pedagogicznej, że „dla młodzieży i najlepsze jest zaledwie dobrem".

Szkoła musi pozostawać w służbie idei i ideałów wiecznie trwałych. Jej przewodnie gwiazdy: prawda, cnota, piękno, których niewolno fałszować, podrabiać, ani naginać dla ubocznych celów bieżącej chwili. Do ideałów tych musi się dostroić wszelkie poczynania, nie odwrotnie. Oczywiście ocena i dobór teraźniejszości są trudniejsze, bo brak perspektywy dziejowej, trudniejsza ocena wartości wobec bezpośredniego zetknięcia się i zainteresowania.

Szkoła nadto pracuje dla przyszłości i to jej główne i zasadnicze zadanie. Zadanie trudne, bo skutków nie widać odrazu, ale zadanie tem ważniejsze, jako formujące przyszłość. Szkoła patrząca na swych wychowanków, jako na uczniów jedynie, nigdy nie wychowa ich na obywateli, budujących swą ojczyznę. Nie chodzi o to, by mogła się ona pochlubić wzorowymi uczniami w klasie, ale o to, by szczyciła się wzorowymi obywatelami w późniejszem życiu, po opuszczeniu szkoły. Przyszłość ma być wytyczną, a to wielka rzecz, bo jak powiedział Jan Zamoyski: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie".

I jeszcze inna rzecz. W polityce istotę stanowi cel, który nie rzadko uświęca środki. Inaczej w wychowaniu. Tu i środki nie są obojętne, one też muszą harmonizować z ideałami, jakim szkoła służy. Środki i sposoby wychowawcze, choćby miały prowadzić do najwznioślejszych celów, nie mogą znaleść zastosowania, jeśli sprzeciwiają się naczelnym zasadom i ideałom, na których zbudowana cała nasza kultura. Kultura właśnie nasza, łacińska w odmianie swoistej polskiej, „umiejąca na rozmaitości pogłębiać jedność", szanująca wolność indywidualną, a przecie umiejąca położyć jej granicę, by nie przeszła w swawolę i rozpasanie, w tradycyjne *liberum veto*. Szkoła może służyć tylko trwałym i stałym ideałom, a musi być wolną i niezależną od zmiennych fluktuacyj politycznych partyj i rządów.

Słusznie powiedział minister Łukasiewicz na zjeździe 1919 roku: „Muszą być pewne przepisy, któreby normowały w pewnych granicach postępowanie każdego. Ustawy, rozporządzenia, regulaminy są temi murami, które będą ograniczały do pewnego stopnia swobodę postępowania indywidualnego każdej jednostki. Ale każda jednostka, czynna na polu szkolnictwa, powinna mieć w obrębie tych murów, w obrębie tych przepisów pewną jakąś swobodę działania, żeby mogła pracować w pewnym kierunku samodzielnie... Każdy nauczyciel, każdy urzędnik, każdy kierownik powinien mieć pewien zakres działania taki, w którym mógłby poczynać coś samodzielnego, na którym mógłby sił swoich spróbować". Te zasady ogólne, te graniczne mury muszą być stałe, niezależne od kierunków politycznych, od władzy partyj. Bardzo pięknie sformułował to ks Gralewski na tym samym zjeździe: „Godność nauczyciela jest w umiejętności upodobania do pracy indywidualnej, w podatności do zorganizowania i w talencie organizowania pracy zbiorowej, wreszcie w ustawieniu duszy pod wpływy wielkości i wzniosłości nauki, sztuki i religji. Godność nauczyciela jest w zawartej w jego duszy syntezie narodu czynnego. Nauczyciel musi wżyć się w Polskę... Nauczyciel musi się zrosnąć z czynną pracą narodu..."

LUDWIK JAXA BYKOWSKI

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Celem uczczenia 40-letniej działalności Józefa Weyssenhoffa, utworzył się komitet z wszystkich stowarzyszeń literackich, którego członkostwo honorowe przyjęli: marszałek Senatu b. wojewoda wileński, p. Władysław Raczkiewicz, minister wyznań relig. i ośw. publ. P. Janusz Jędrzejewicz, prezydenci miast; Warszawy, Poznania, Wilna, Lwowa, b. minister kultury i sztuki P. Zenon Przesmycki (Miriam.)

Komitet wykonawczy tworzą delegaci wszystkich stowarzyszeń literackich, a mianowicie: Penclubu: L.H. Morstin, Syndykatu Dziennikarzy: J. Czempiński, T-wa Literatów i dziennikarzy: St. Miłaszewski i Anna Słonczyńska, Zrzeszenia belestrystów: M. Smolarski, Związku autorów dramatycznych: J. A. Hertz, Związku zawod. literatów: Zofja Nałkowska. Ponadto do Komitetu zaproszono wybitnych dziennikarzy, krytyków i literatów jak z Warszawy: F. Goetla, K. Makuszyńskiego, H. Mościckiego, z Krakowa: J. A. Gałuszkę, K. H. Rostworowskiego, z Poznania: W. Noskowskiego, J. E. Skiwskiego, E. Zegadłowicza, z Wilna: W. Hulewicza. Zaproszono także p. Mieczysława Fijałkowskiego. Prezydjum Komitetu tworzą: prezes: F. A. Ossendowski, wiceprezes: Ignacy Baliński, skarbnik: adw. S. Rodkiewicz, sekretarz generalny: A. Godziemba Wysocki.

Komitet uchwalił na ostatniem swem posiedzeniu, aby do Komitetu Honorowego zaprosić Ignacego Paderewskiego Jest nadzieja, że Paderewski obecnością swą uświetni Akademję na cześć Weyssenhoffa, mającą się odbyć w początkach lutego.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

„Pieśń o rynku i zaułkach" — taki tytuł nosi ostatni— pośmiertnie już wydany — zbiorek utworów ś. p. Artura Oppmana (nakł. księg. J. Mortkowicza). Pieśń prawdziwie łabędzia. Przeczucie rychłej śmierci kilkakrotnie tu się wyraźnie odzywa „a że mi może do odlotu blisko i w pozaświaty mogę śmignąć ptakiem"... W takim nastroju zwykła się rodzić tęsknota za młodemi laty, za tem, co się w życiu kochało najwięcej. „Przedśmiertnem życzeniem" poety jest, by za natchnienie jego pieśni „zadzwoniły mu u trumny" dzwony staromiejskie. Stare Miasto jeszcze raz ożyło w tych wierszach, zaludniło się postaciami dawnych patrycjuszów, mieszczek, galantów, spiskowców. Wiersze tu zawarte należą do najlepszych, jakie Or-Ot w swem życiu napisał; ani śladu tego zmuszania się do pióra, co w ostatnich czasach nieraz krępowało polot jego natchnienia. W swoim jest on tu żywiole — i czuje się tu tak pewnie, jak może nigdzie w świecie. Dumne są, ale prawdziwe — te słowa, w których piewca „Starego miasta", ofiarując swoją pieśń Warszawie, żąda, by stolica „zapisała na sercu tablicy" te nazwiska: „Słowacki, Oppman, Miron, Gomulicki"... szkoda, że pominięto Prusa, który, acz nie Warszawianin rodem, wystawił w „Lalce" niepożyty pomnik temu miastu... a może i Kraszewskiego który przed Or-Otem warszawskie Stare Miasto i serdeczną potrjotyczną mękę Warszawy przedstyczniowej piórem uwiecznił. Na szczególną uwagę zasługuje — przy całej szczerości uczuć — wytworna a miejscami kunsztowna forma wierszowa, chętnie zdobiąca się blaskiem rzadkich rymów. Rzec można, że w tym pod każdym względem pięknym zbiorku oddał Or-Ot Warszawie — na pożegnanie — wszystkie skarby swego serca i talentu. (J. B.)

*

Książka, która niestety spóźniła się jako podarunek gwiazdkowy (ukazała się w księgarniach dopiero w połowie grudnia b.r.) — jest „25.770 km. ponad Afryką". Zawiera opis lotu, dokonanego przez kpt. pil. Stanisława Skarżyńskiego w pierwszej połowie 1931 roku na płatowcu i silniku całkowicie polskiej konstrukcji. Dziennik podróży, pozbawiony efektów literackich, jednakże napisany językiem starannym, przynosi wiele wrażeń i budzi refleksje nietylko z powodu egzotyczności tematu. Mianowicie czytelnika polskiego uderza przyjemnie wytrwałość lotników, którzy nie ustąpili przeciwnościom, jakie w pierwszym rzędzie nastręczyły im kaprysy silnika, wziętego „z serji", t. j. silnika nie montowanego specjalnie do lotu zamorskiego w klimacie tropikalnym. Kpt. Skarżyński i por Markiewicz dwukrotnie, w najcięższych warunkach warsztatowych, dokonywają całkowitego remontu motoru ku szczeremu podziwowi cudzoziemskich specjalistów, wyrażonemu zarówno pod adresem sprawności naszych lotników jak i pod adresem wytrzymałości materjału, który daje się rozbierać i składać bez skrupulat-

nych zabiegów fabrycznych. Następną refleksją czytelnika jest zadowolenie z tego, że znaleźli się dwaj dzielni lotnicy (oraz oczywiście mądrzy ludze, którzy pomogli im do wykonania przelotu), którzy na dalekim lądzie mieli sposobność oświecenia wielu głów, że istnieje pewne państwo nazwiskiem Polska. Książkę wydał bardzo starannie Aeroklub Rzplitej. 89 dobrych fotografij na kredowym papierze oraz kilka map ułatwia czytanie. Okładkę pięknie ozdobił B. Nowakowski. Druk Salezjańskiej szkoły graficznej nie przynosi zaszczytu temu zakładowi ani pod względem kroju czcionek (który jest nieestetyczny), ani pod względem układu graficznego. (T.)

*

Wydawany we Lwowie staraniem Związku towarzystw słowiańskich „Ruch Słowiański" po kilkumiesięcznej przerwie rozesłał nr. 3-6. Przerwę tłumaczy brakiem środków materjalnych. Redakcja wzywa zwolenników idei jednoczenia się słowian do popierania jej usiłowań. Powinno przecież być ambicją Polski, aby ona — nie kto inny — zajmowała miejsce centralne w grupie narodów słowiańskich. Rzecz bardzo dziwna, że fundusz propagandowy naszego min. spraw zagranicznych traktuje tę sprawę obojętnie. Pomoc okazana towarzystwom słowiańskim byłaby wydatkiem produkcyjniejszym, niż łożenie wielkich sum na obsługiwanie takich symbolów masońskich, jako Liga Narodów.

Adres redakcji „Ruchu Słowiańskiego": Lwów, Długosza 37. Skład główny wydawnictwa w Warszawie: Dom książki Polskiej, Plac 3 Krzyży, 8. Prenumerata kosztuje półrocznie zł. 10, płatnych czekami na P. K. O. nr. 153.644.

Ostatni zeszyt, bardzo pouczający, zawiera prace: Jul. Krzyżanowskiego o Dostojewskim, St. Wierczyńskiego „Z dziejów słowianoznawstwa", Oknińskiego o Serbji i w. in.

ZE ŚWIATA SZTUKI

TUŻ PRZED świętami dokonano uroczystego otwarcia „Salonu Zimowego" Instytutu Propagandy Sztuki we własnej już siedzibie, w nowowybudowanym dla celów wystawowych pawilonie przy ul. Królewskiej 13. Konieczność powołania do życia nowej placówki nie dla wszystkich widocznie jest jasna, skoro Instytut w osobie swego prezesa, prof. Skoczylasa, uznał za stosowne uzasadnić jej potrzebę szeregiem argumentów, zawartych w przedmowie do katalogu wystawy: „Nowy pawilon wystawowy przybywa nie jako złośliwa i szkodliwa konkurencja dla Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych". Istotnie, słowo „konkurencja" przyszło zapewne na myśl niejednemu, gdy dowiedział się o powstaniu nowej świątyni sztuki, zwłaszcza w tak blizkiem sąsiedztwie Zachęty. Wyraz ten jednak jest dosyć pojemny i znaczenie jego może być pojmowane rozmaicie: od szlachetnego współzawodnictwa począwszy, kończąc na zwyczajnem kopaniu dołków pod sobą. Oczywista, instytucji tak poważnej przystoi tylko ten pierwszy rodzaj postępowania. Dalej pisze prof. Skoczylas, że „nowa placówka wytworzy naturalny podział między żywiołami artystycznemi, których współpraca na gruncie jednego towarzystwa była trudną a często niemożliwą". Nikt chyba nie będzie protestował i przeciw podziałowi, o ile ten rzeczywiście dokona się w sposób naturalny. Następnie przechodzimy do programu działalności Instytutu. „Nie chcemy służyć żadnym koterjom artystycznym (oby tak było!), na wystawach naszych, jak i na obecnej znaleźć można prace, reprezentujące zarówno skrajny realizm, jak i abstrakcyjne formy...". „Szanujemy każdy s z c z e r y (podkr. moje) wysiłek rzetelnego talentu, ale musimy wyznać, że bliższe nam będą poszukiwania nowych dróg w sztuce, niż rutyniczne pochody po utartych szlakach". Podoba mi się to męskie postawienie sprawy. Ale tu muszę zwrócić uwagę na jedno. „Szanujemy każdy szczery wysiłek", a więc — *vice versa* — nie szanujemy blagi, nie szanujemy kroczenia po linji najmniejszego oporu. Postępując w myśl tej zasady, słusznie nie uwzględniono dzieł — „rutynicznych pochodów po utartych szlakach", jak to nazbyt często czyni, nazbyt w tym kierunku pobłażliwa, Zachęta. Z drugiej jednak strony nie widzę już takiej konsekwencji. Spora garść dzieł, w których nie można dopatrzeć się ani szczerości, ani wysiłku, smacznych i zręcznych zaledwie, o bardzo taniutkiej i powierzchownej kulturze, czasem wprost plagjatów malarstwa paryskiego, znalazła łaskę w oczach *jury*! — czy dzięki tym właśnie cechom? Jest to jedyna ujemna strona tej zresztą na wysokim poziomie utrzymanej wystawy, posiadającej szereg dzieł istotnie wartościowych. Przyczyny tego tkwią w zjawisku dość symptomatycznem i powtarzającem się z uporczywą jednostajnością.

Oto szereg ludzi, nieraz największych naszych naszych artystów, przez swą twórczość rasową i odrębną najbardziej sztuce p o l s k i e j (podkreślam słowo: polskiej) zasłużonych, głoszących przy wielu sposobnościach szczytne hasła pielęgnacji i kontynuowania jej odrębności — w praktyce okazuje dziwną pobłażliwość dla dzieł, które, przez swój charakter, nie tylko z polską, ale nawet ze sztuką jakiegokolwiek blizkiego nam narodu, niewiele mają wspólnego. Nie wiem, czy ta tolerancja okaże się dobrą w skutkach *).

A teraz przejdźmy do omówienia wystawy. Składają się na nią przeważnie obrazy; rzeźb niewiele, grafika obesłana bardzo skromnie. Wśród dzieł malarskich niema rewelacyj, są natomiast utwory dobre i kilka b. dobrych. Ogląda je widz w warunkach korzystnych dla uwydatnienia wszystkich walorów malowidła, gdyż wnętrze pawilonu jest dyskretne, gustowne i spokojne. Biały muślin, umieszczony na suficie, rozsiewa światło łagodnie i równomiernie. Dokładne zaznajomienie się z zawartością wystawy wymaga jej kilkakrotnego zwiedzenia, to też nie chcąc krzywdzić artystów sądem zbyt powierzchownym, omówienie dzieł poszczególnych odkładam do następnego numeru.

*

„Salon" Zachęcie nie bardzo się udał. Obrazy wiszą niemal jeden na drugim, tak jest tłoczno. W tym tłoku może ginie parę bohomazów, ale i te, które się zauważyło, składają się na porcyjkę wcale sporą. A wszystko przez zbyt dobre serce: nikogo nie chciało się skrzywdzić, niech każdy pokaże, co umie. I rzeczywiście nie skrzywdziło się nikogo, oprócz chyba... sztuki. A przecież tak łatwo stosunkowo było temu zaradzić. Oczywiście Zachęta nie odpowiada za to, iż dziś artyści nie tworzą zbyt często arcydzieł. Ale odpowiada zawsze za *minimum* poziomu, a to nietrudno było utrzymać przez usunięcie połowy wystawionych obrazów. To, co Zachęta robi, mogłoby być uważane za uporczywą manję samobójczą

O pracach, zasługujących na uwagę, pomówię w następnym numerze.

WIKTOR PODOSKI

---

*) Niechże mi Instytut tych słów nie ma za złe, podyktowała je nie chęć szukania dziury w całem, lecz troska, aby przyszłość nasza w tej dziedzinie kultury, choć inna, okazała się godną przeszłości, właśnie przez twórczość lwiej części członków Instytutu budowanej.

TEATR

NOWA KOMEDJA S. MIŁASZEWSKIEGO

TAK się złożyło, że nie byłem na premjerze wystawionej w teatrze Nowym komedji „Drugie imię miłości". Zanim zdołałem pójść do teatru na tę nową sztukę Stanisława Miłaszewskiego, przyjętą w prasie z tak jednomyślnym poklaskiem, słyszałem o niej wiele z opowiadań i sporów.

Rzecz szczególna, zwykle spierają się ludzie podczas antraktów, tutaj dyskutują później, gdy ochłonęli z wrażenia. Istotnie przekonałem się, że komedja Miłaszewskiego robi nieodparte wrażenie bezpośrednie. Człowiek niema czasu się opamiętać, tak go przemyślny autor opętał urokiem akcji i pięknego słowa. Późniejsze refleksje mają za temat nie co innego, jeno pytanie: Co właściwie było istotą czaru?

I to jest właśnie triumf pisarza scenicznego. Bywalcy teatralni, teatrologowie zarzucali dawniej Miłaszewskiemu, że za wysoko sięga w obłoki.

— Pan poeta, my chcemy teatru prawdziwego.

Miłaszewski jest człowiekiem zbyt ludzkim, aby mógł takiej rzeczy odmówić ludziom, a nawet sobie. Zresztą cóż naturalniejszego — mogła go wziąć pasja pokazania, że i on, jak zechce, potrafi być „człowiekiem teatru".

Sztuka dramatyczna w Polsce nie może znaleść dla siebie miejsca samoistnego. Wyniesiona w górę wielką falą poezji romantycznej, zapomniała, że jest rodem ze sceny z rampą i dekoracjami, z owej sceny Bogusławskiego, gdzie przecież wielką poezją nie była, a miała jednak rację bytu. A przez ten czas znaczny obszar jej dawnego panowania zajęły imitacje sceny, przeznaczone dla muz podkasanych i cyrkowych.

Podobna historja stała się też z powieścią. Oczywiście i z powieści można robić poezję; niemniej naturą jej nie będzie nigdy nic innego, jak bajka o człowieku. Z podobnej potrzeby, co powieść, zrodził się teatr. Człowiek chce widzieć na scenie zorganizowany artystycznie kawałek życia.

Ponieważ życie ludzkie ma swoją metafizykę i swoją fizykę, więc i dramatopisarz może się powodować tendencją bardziej poetycką — pokazywania, że coś być musiało według praw władnących człowiekiem, albo prostszą — pokazania, że tak bywa. I ta druga kondygnacja — jak widzimy u Miłaszewskiego — otwiera przed pisarzem dużej miary szerokie pole możliwości artystycznych. Tu się mieści ów właściwy teatr z jego sztuką takiego pokazywania zdarzeń ludzkich, aby one się wydawały, jak prawdziwe, a nawet konieczne. Miłaszewski dowiódł, że to potrafi i to na wysokim poziomie literackim.

Słyszę, jak ludzie się spierają, czy to możliwe, żeby dwóch panów, ojciec i syn, zakochało się jednocześnie na pierwsze wejrzenie w jednej kobiecie i żeby z tego wynikł cały dramat. Bo wielki z tem ambaras, gdy dwóch kocha naraz. Czegóż chcecie: jednak tak było, skoro słuchaliście z zapartym oddechem, co z tego wyniknie. Cel osiągnięty. Sztuka zupełnie to uprawdopodobniła, co w życiu wydałoby się może dziwnem. Znacie historję o kopciuszku, lub zaklętej królewnie — czyż wymagaliście uzasadnienia ich uroku? Czyż miłość potrzebuje uzasadnienia?

Ojciec i syn sięgają po rękę kobiety. Kobieta ma dwie ręce, ale musi wybrać. I ten jej ambaras jest pierwiastkiem dramatycznym sztuki. Nie można powiedzieć, żeby kierował nią jakiś mus. Owszem czyni wybór z rozwagą objektywną, tak, jak w życiu bywa. Autor nie usiłuje robić z niej bohaterki wielkiego uczucia. Przypisuje jej urok, który sprawia, że każdy z tych mężczyzn, szukający w niej wartości wręcz sobie przeciwnych (praktyczność i idealizm), znajduje w niej swoją cząstkę. Ostatecznie wybiera syna, że młody i piękny i że na to przyzwala ojciec, wycofujący się szlachetnie z współzawodnictwa.

Główny walor leży w bajce. Miłaszewski tak zgęścił akcję, choć czynne są tylko trzy osoby, że na refleksje psychologiczne nie daje widzowi czasu. Atmosfera teatru jest naelektryzowana iście teatralnem zainteresowaniem.

Komedja zbudowana jak rower — mocno i mądrze. A w tym mechanizmie miłość gra rolę główną; jest ona (czy z pierwszego, czy z drugiego swego imienia) — owem prawem fizycznem równowagi niestałej, pozwalajacej dawać życiu pęd zawrotny. Kobieta jest tu woltyżerką, a dwaj mężczyźni są jak dwa kółka. Skąd ten dar w kobiecie, do niedawna szarej od powszedniości? Jedyna odpowiedź i wystarczająca: genjusz kobiecości.

Miłaszewski w tej swojej sztuce poniechał obłoków poezji, nie znaczy to jednak, by się wyzbył wspaniałego gestu literackiego. Bohaterowie jego w tem, co mówią, sięgają wyżyn kultury słowa. Konwersacja ich jest precyzyjna, wytworna i pełna dowcipu. A publiczność sama nie wie o tem, w jakim stopniu ulega ponęcie pięknego słowa. Ono, jak muzyka, podnosi nastrój obcowania teatralnego.

Miłaszewski narzucił artystom zadania wdzięczne, ale wymagające nielada talentów. Znakomite *trio* tworzyli pp. Gorczyńska, Samborski i Wesołowski.

Teatr, mający w swoich tradycjach Modrzejewską i Popielkę, musiał i tu podołać. Pani Gorczyńska zagrała brawurowo całą klawiaturą — od wiolinu naiwnej wesołości do nabrzmiałych dramatycznością tonów gniewu. I lepsza była w swej drugiej części. Wogóle drugi akt okazał się pod każdym względem najlepszy.

Pan Samborski w roli Hornickiego ojca znalazł jeden z piękniejszych momentów swej karjery artystycznej. Bardzo ładnem zjawiskiem jest p. Wesołowski, jako amant dystyngowany, doskonale mówiący i sympatyczny w obejściu.

Z. W.

NA MARGINESIE

Ultrasanacyjny tygodnik „Jutro Rzeczypospolitej", pragnąc wytłumaczyć swym czytelnikom, dlaczego w procesie brzeskim przemówienia obrońców wywołują o wiele większe wrażenie w opinji publicznej, aniżeli wywody oskarżycieli, usiłuje wyjaśnić to faktem, iż obwinionymi są „mówcy i publicyści pierwszorzędni", „wybitni praktycy parlamentarni, zaprawieni w prowadzeniu dyskusji".

„A po drugiej stronie"?— „Jutro Rzeczypospolitej" prosi swych czytelników o pobłażliwość — „Dwu, prokuratorów, ludzi zdolnych niewątpliwie — ależ o ile mniej „kutych" w sprawach politycznych! Ludzi, którzy do polityki zostali wciągnięci przez obowiązek popierania oskarżenia... a już zgoła nie obracają się w tej dziedzinie z tą niewymuszoną swobodą, jaka znamionuje fachowca".

Coś się tu pokręciło publicyście sanacyjnemu i jakgdyby z czemś się niepotrzebnie wygadał. Jakże to? Przecież Brześć — to nie był akt walki politycznej z przeciwnikiem, ale akt jednakowej dla wszystkich sprawiedliwości, w stosunku do przestępców, łamiących prawo. Przecież proces brzeski, to też nie przejaw walki politycznej dwóch obozów, w której jedną ze stron są oskarżyciele, ale na prawie wyłącznie oparty, bezstronny wymiar sprawiedliwości. W czemże mają być „kuci" prokuratorzy i do czegóż mają być „zdolni niewątpliwie"? Wszakże są obrońcami prawa, nie zaś tego lub innego programu politycznego, w tym zakresie powinni być chyba fachowcami.

*

Prasa angielska, szeroko rozpisując się o wizycie pana Zaleskiego w Londynie, wzmiankuje, że gdy była mowa o spadku funta st., król angielski rzekł:

— Ba, panie Zaleski, gdybym miał brata, gdybym miał brata! Powołałbym go na stanowisko ministra skarbu i nigdyby do tego nie doszło.

*

Dygnitarz pewien powiedział:

Ideałem byłby człowiek rozumny, uczciwy i sanator. Ale niestety ideały są nieosiągalne. Pokazuje się, że z tych trzech właściwości tylko dwie mogą iść z sobą w parze. Bywa czasem sanator rozumny, bywa nawet uczciwy, ale człowiek i rozumny i uczciwy sanatorem być nie może.

*

Według prowizorycznego obliczenia wyników spisu ludności, okazuje się, że mamy w Polsce jednego Dziadka i 30 miljonów dziadów.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.